SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 48 22 KWIETNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

U górali weselisko

Z pompą, szykiem. Z fantazją! Weselisko na sto par. W wiosennym słońcu, w kolorach najprawdziwszych regionalnych strojów. Tak jak każe tradycja. Nawet w Poroninie nieczęsto można być świadkiem takiej ceremonii. Toteż widzów tłoczyło się co niemiara! I gdy do bryczki drużbowie pannę młodą prowadzili, i gdy z furkotem wstążek zdobiących końskie uprzęże, z trzaskaniami biczysk, ruszył barwny orszak. A w domu weselnym grajkom aż ręce mdlały od muzykowania. Tańczono do białego rana.

Wśród gości był też nasz fotoreporter – Kajetan Adamowski. Jego fotoreportaż z góralskiego weseliska zamieszczamy na str. 3.

Pracowicie rozpoczęta wiosna

JAK MOŻNA ZAROBIĆ 17 TYSIĘCY?

LIPNO (HSI). Harcerze ze Szczepu HSPS im. K.K. Baczyńskiego w Lipnie stale powiększają konto dokonań w ramach akcji „Młodzieżowa Wiosna Czynów". Przez kilka dni pracowali na akord w zakładach przetwórczych „Nektovit", gdzie przygotowywali kapustę do kiszenia. Zarobili około 15 tys. złotych. Ponadto w rejonie dróg publicznych kopali rowy melioracyjne. Ta praca przyniosła im 2 tys. złotych. Zabrano się także za uporządkowanie terenu wokół szkoły. Zmodernizowano boisko do gry w koszykówkę, przygotowano rzutnię do pchnięcia kulą, posiano trawniki, przeprowadzono wstępne prace przy nowym boisku tenisowym, umyto okna, drzwi i podłogi. W dotychczasowych pracach „Młodzieżowej Wiosny Czynów" wziął udział cały szczep, który liczy 260 osób. **(ach)**

Może rosną tu mistrzowie sportu?

DZIAŁDOWO (HSI). Najbardziej usportowioną szkołą w województwie ciechanowskim jest Szkoła Podstawowa nr 1 w Działdowie. Na najwyższym poziomie stoi tutaj koszykówka, chociaż nie tylko ona decyduje o sportowym obliczu szkoły. Dziewczęta i chłopcy osiągają równie dobre wyniki w innych grach zespołowych oraz w lekkoatletyce. Wystarczy wymienić kilka rekordów szkoły, by stwierdzić, że sportowcy znajdują się tu pod dobrą opieką. Np. Jacek Poturnicki uzyskał 6,25 m w skoku w dal i 176 cm wzwyż. Alicja Łukasik 12,8 sek. na 100 m, a Marzena Płocharska 7,8 sek. na 60 m. Warto dodać, że doskonale układa się współpraca szkoły ze szkoleniowcami klubu „Start". **(aug)**

TYDZIEŃ POD ZNAKIEM RINGO

STARACHOWICE (HSI). Ostatni tydzień upłynął w Świętokrzyskim Szczepie im. Szarych Szeregów w Starachowicach pod znakiem gry w ringo. Sztandarowa Drużyna Harcerzy im. „Alka" Dawidowskiego zorganizowała bowiem Mistrzostwa Szczepu w Ringo z udziałem reprezentacji wszystkich drużyn szczepu. Zwyciężyła 10 Drużyna Harcerzy przed najmłodszymi uczestnikami turnieju – harcerkami z 15 Drużyny im. „Dorotki". Imprezę zakończyły nagrody, dyplomy i wspólne zdjęcia. Była to jedna z wielu gier, jakie znalazły się w tegorocznym kalendarzu „Harcerskiej Wiosny" starachowickiego szczepu.

Danuta Kozłowska

PANTERA LUDOJAD SCHWYTANA!

INDIE (PAP). Po dwóch miesiącach tropienia, myśliwi indyjscy zwabili w zasadzkę i schwytali żywcem panterę – ludojada, która od stycznia ub. roku zabiła 18 osób i była postrachem miejscowych wieśniaków. Pantera dała się zwabić do zamaskowanej gałęziami i głazami klatki, w której na przynętę umieszczono kozę. Drapieżnika zidentyfikowano po braku jednego kła, widocznym w śladach pogryzień na ciałach ludzi. Panterę przewieziono do ogrodu zoologicznego w Lakhnan, stolicy stanu Uttar Pradesz **(kl)**.

BOLESŁAWIEC (HSI). W sali Młodzieżowego Domu Kultury odbył się Przegląd Piosenki Zuchowej i Harcerskiej. Były to jakby „przedbiegi", mającego odbyć się w maju, II Festiwalu Piosenki Zuchowej i Harcerskiej. Przegląd ten został poprzedzony szeregiem imprez eliminacyjnych, podczas których oceniano wykonanie, choreografię, dyscyplinę zespołu, umundurowanie oraz wybór repertuaru. Każdy z zespołów prezentował 3 piosenki.

PRZEDFESTIWALOWE ELIMINACJE

I miejsce w kategorii piosenki zuchowej przyznano zespołowi ze Szkoły Podstawowej nr 3, zaś piosenki harcerskiej zespołowi „Płomienie" ze Szkoły Podstawowej nr 2. Ze szkół średnich najlepiej prezentował się zespół ze Szczepu przy Zespole Placówek Oświatowych oraz grupa z Liceum Ogólnokształcącego. Najlepsi pojadą reprezentować Hufiec Bolesławiec na Chorągwianym Przeglądzie Piosenki Zuchowej i Harcerskiej w Jeleniej Górze.

Jolanta Lubasińska

KRESKÓWKA – PODRĘCZNIKIEM

BIELSKO-BIAŁA (PAP). Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej produkuje filmy popularnonaukowe dla przedszkolaków. Są to filmy, w których w sposób prosty i plastycznie zrozumiały, przy pomocy techniki animacji, prezentuje się najciekawsze zjawiska zachodzące w przyrodzie. Do tej pory w serii tej powstały dwa filmy „Kropla wody" i „Awebo", a ostatnio film „Atom". Filmy te realizuje znany twórca filmów dziecięcych, m.in. serialu „Przygody błękitnego rycerzyka" i „Przygody psa Reksia" – Lechisław Marszałek. **(kl)**

Ów masywny przedmiot to... ustna harmonijka. Nauka gry na tym instrumencie, zdobywającym sobie w Japonii coraz większą popularność, obowiązuje uczniów najmłodszych klas szkoły podstawowej. W Tokio powstał nawet 100-osobowy klub, skupiający dzieci muzykujące na ustnych harmonijkach.

Fot. **CAF**

W XXXV rocznicę powstania zbrojnego

WARSZAWSKIE GETTO

...„Po raz pierwszy społeczeństwo żydowskie przekonuje się, że można coś zrobić wbrew woli i sile niemieckiej. Nieważne jest to, ilu Niemców padło pod strzałami Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) – ważny jest moment psychicznego przełomu. Ważne jest to, że Niemcy ze względu na słaby, co prawda, ale dla nich niespodziewany opór – musieli akcję przerwać"...

Tak pisał o znaczeniu pierwszych walk grup bojowych ŻOB – Marek Edelman – jeden z członków kierownictwa tej organizacji; jeden z nielicznych, którym udało się przetrwać piekło, w jakie hitlerowcy zamienili warszawskie getto. Przełom psychiczny o jakim pisze, w chwili rozpoczęcia przez hitlerowców tzw. ostatecznej likwidacji kwestii żydowskiej doprowadził wiosną 1943 r. do wybuchu zbrojnego powstania w getcie. Zaszczuci, wycieńczeni głodem i chorobami ludzie stanęli do walki. Do walki, która wprawdzie tylko garstce przyniosła ocalenie, ale za to – tysiącom i tak skazanych przez hitlerowców na śmierć – pozwoliła umrzeć z godnością, z bronią w ręku.

Powstanie w gettcie wybuchło rankiem 19 kwietnia 1943 roku. Było zaskoczeniem dla okupantów, którzy sądzili, że zdołali już złamać ducha społeczności żydowskiej, że pozbawili ją woli oporu. Rozwścieczeni zbrojnym wystąpieniem zastosowali najbrutalniejsze sposoby walki. Generał Jürgen Stroop, który dowodził oddziałami tłumiącymi powstanie, uznany został za jednego z najbardziej okrutnych zbrodniarzy wojennych. Powstanie zaczęło wygasać z początkiem maja, choć sporadyczne walki w ruinach getta trwały jeszcze do połowy czerwca. W wypalonym gettcie zamordowano tylko w czasie powstania ponad 20 tysięcy osób, a 50 tysięcy jego mieszkańców wywieziono i zgładzono w obozie śmierci w Treblince.

Od początku walk z pomocą bojownikom żydowskim przyszły organizacje Polski Podziemnej: Gwardia Ludowa i Armia Krajowa przekazywały broń, organizowały zamachy na niemieckie posterunki. W akcjach tych poległo wielu żołnierzy konspiracji. W polskich rodzinach ukrywano uciekinierów, otaczano opieką osierocone dzieci. Postępowano tak, choć za pomoc udzieloną Żydom groziła kara śmierci dla całej rodziny.

W XXXV rocznicę powstania w warszawskim gettcie, przed pomnikiem jego bohaterów złożono wieńce i wiązanki kwiatów. Odbyło się wiele uroczystości upamiętniających walkę powstańców. W Polsce nie zapomniano o tamtych kwietniowych dniach w gettcie. (kp)

Scena z telewizyjnego przedstawienia „Romeo i Julii" Williama Szekspira. W roli Julii – Bożena Adamek, w roli Romea – Krzysztof Kolberger

Nad listami z serduszkiem

MIŁOŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ

Listy z serduszkiem to te o miłości, o sercowych rozterkach i kłopotach, kierowane do redakcji w potrzebie i zaufaniu. Czasem chodzi w nich o pomoc i radę, a czasem tylko o zwierzenia, o podzielenie się radością bądź smutkiem z odniesionej porażki, zawodu. Ona kocha i tęskni, on już interesuje się inną, on chciałby ją poznać, ona otoczona wiankiem wielbicieli nie zwraca uwagi, było im ze sobą dobrze, nagle wszystko się popsuło – problemy stare jak świat i wciąż aktualne. Uczucie, stan bliżej nieokreślony, przychodzi, kiedy chce, odchodzi nie zawsze w porę i za naszą zgodą. Jak do delikatnych spraw sercowych przykładać szkiełko i oko, jak je brać na rozum?

A jednak przynajmniej raz w roku, niech to będzie na wiosnę, warto zakochanym i tym, których strzała Amora jeszcze nie dotknęła zastanowić się nad tym uczuciem bez emocji, na zimno, ustalić własny pogląd na sprawę, może nie najważniejszą w życiu, ale jednak bardzo istotną. Sądząc z listów większość czytelników bierze ją na żywioł i jednym miłość jawi się w postaci marzenia, innym czarodziejki, czasem wydaje się nieuchwytnym szczęściem, bywa, że myli się z przyjaźnią. Co wpływa na nasze wyobrażenia o miłości?

MIŁOŚĆ – MARZENIE

*„Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną, na klombach mych myśli sadzone za młodu..."** mówi poeta, a każdy wie, że nigdy tak wiele się nie marzy jak w młodości. Są to najczęściej myśli o przyszłości, a wśród nich wizja wiernej miłości, szczęśliwego małżeństwa jawi się najczęściej. Wyobraźnia nieskrępowana doświadczeniem buja swobodnie wzbogacona przez lekturę, teatr, telewizję, kino. Nie zawsze jednak uświadamiamy sobie jak mity stworzone przez sztukę nad nami panują, nasuwając obrazy, które skłonni jesteśmy uznać za własne. Już trzy wieki temu francuski pisarz, znawca ludzkiej natury, La Rochefoucauld powiedział: *„Niewielu ludzi byłoby zakochanych, gdyby nigdy nie słyszeli o miłości."*

Oczywiście, każda epoka wytwarza własny uwarunkowany historycznie model miłości. Dziś jednak korzystamy również i z tego, co stworzyła przeszłość. Film, literatura mówią o miłości wiele i często są to obrazy i słowa innych epok, nieprzystające do dzisiejszej rzeczywistości. Istnienie literackich mitów bywa bardzo trwałe. Pierwszym takim mitem w europejskiej literaturze stała się historia miłości Tristana i Izoldy, miłość dworna, rycerska, którą sławili trubadurzy. To idealne uczucie, sprowadzone do sfery marzenia, miłość-namiętność, sławiona w opowieści z XII wieku odrodziła się w historii Romea i Julii, w cierpieniach młodego Wertera... w romantycznej miłości wiernej aż po grób, który to mit wraca do nas raz po raz nie tylko w utworach już historycznych. Z drugiej strony współczesne filmy, zwłaszcza zachodnie i amerykańskie, często ukazują miłość zwulgaryzowaną, sprowadzoną jedynie do doznań fizycznych, przedstawioną nierzadko brutalnie, wręcz odrażająco. Namiętna miłość zwulgaryzowana w naszych czasach przez powieść i film jest mimo to jakimś echem tamtego mitu i tu, i tam ma ona niemal metafizyczną siłę, która usprawiedliwia postępowanie tego, który kocha. Zawsze przecież jesteśmy skłonni wiele wybaczać zakochanym, którzy egoistycznie zajęci tylko sobą, żądają względów od innych. Zakochani nawet w XX wieku, wg ogólnej, pytanie czy słusznej opinii, mają prawo tracić głowę.

Dzięki literaturze utrwaliły się też w naszej świadomości dwa krańcowe typy męskie: Romeo i Don Juan. Wierny kochanek i jego przeciwieństwo, postać wyrażająca cechy przypisywane męskiej naturze: niestałość, pogoń za nowością, zaspokajanie instynktu. Romeo umiera wraz z ukochaną, Don Juan pragnie coraz to nowych zdobyczy i wskutek kaprysów własnej żądzy nie znajduje jedynej wybranki serca. Kobieta zaś występuje w sztuce bądź jako symbol miłości uduchowionej bądź jako przedmiot rozkoszy. Obok romantycznych historii w stylu „Love story" obserwujemy we współczesnej sztuce również kult instynktu wyzwolonego spod władzy rozumu. Funkcjonuje więc we współczesnej kulturze zarówno mit miłości romantycznej jak i nieokiełznany erotyzm nazywany czasem nową moralnością, rewolucją seksualną. Ciekawe, że marzenia większości ludzi, a szczególnie młodych karmią się tym starym romantycznym mitem, a współczesne dziewczęta czekają na Romea nie na Don Juana.

MIŁOŚĆ – CZARODZIEJKA

„Świat jest cudowny. Nie wiem, czy byłby taki, gdyby nie Andrzej" – pisze jedna z czytelniczek. Nie ona jedna wyobraża sobie miłość jako czarodziejkę, która potrafi uatrakcyjnić życie, wprowadzić do szarego dnia i barwę, i radość. Ileż to ludzi oczekuje, że miłość odmieni im życie, natchnie do dzieła, przyniesie radość życia. Wielu w namiętności miłosnej dostrzega szansę na pełniejsze życie, na korzystną zmianę losu. Jest tak jakbyśmy chcieli, aby ktoś drugi odkrył nam w świecie to, czego sami znaleźć nie potrafimy lub czego nawet szukać nie chcemy na własną rękę. Jest w tym i potrzeba ucieczki od szarego życia, od przeciętności i lęk przed samotnością, poszukiwania oparcia w kimś drugim, lekarstwo na przezwyciężenie własnej bierności. Współczesny poeta przestrzega przed tą pochopną ucieczką w miłość, która nie jest miłością:

Tylko ze strachu przed samotnością
ta dziewczyna słodka w szorstkiej łupinie
pomarańczowego swetra
leci ku miłości jak ćma do świecy
Zdmuchnij – chłopcze – ten obłudny płomyk
nie funduj jej karuzeli lodów kina
mając zamknięte serce nie otwieraj jej ciała
jak różowego owocu – tylko ze strachu
tylko ze strachu przed samotnością
która przyjdzie i tak do ciebie
zagubionego w tłumie jak ziarnko maku ślepe"*

Czasem w tej żarliwej chęci wypełnienia pustki starają się niektórzy przywiązać się na siłę do każdego, kto się zdarzy. Niech będzie jaki chce, byle był. „Wszystkie moje koleżanki mają swoje sympatie, mają swojego chłopca, a ja nie mam, jest mi głupio." – piszą czytelniczki. A poeta radzi:

Nauczmy się samotności
nie bójmy się samotności
...Nauczmy się samotności
aby siebie nawzajem nie krzywdzić
Nasza czułość zabija nas
nasz cynizm zabija innych"*

Czy warto uciekać w miłość z lęku przed samotnością w poszukiwaniu atrakcji, rozrywki? Czyżbyśmy nie znajdowali oparcia w sobie i sami dla siebie byli nieciekawi?

MIŁOŚĆ – SZCZĘŚCIE

„Kochać to żyć", „Życie bez miłości nic nie warte" – piszą niektórzy zamartwiając się, że miłość do nich nie przychodzi. Z innych listów wynika, że szczęście prawdziwe to jedynie trwała i wierna miłość. Tymczasem w życiu najczęściej bywa inaczej. *„Czyż warto więc dawać pierwszeństwo miłości nad innymi wartościami w życiu"* – pytają. Współczesny psycholog i filozof tak sobie odpowiedział na to pytanie: ***„Wolno człowiekowi dzielnemu oddawać się całą duszą rozumnej pracy, jakiejś dobrej sprawie, ale nie miłości. To jest jedna spośród wielu wartości życiowych, ale nie powinna się stawać jedyną, jeżeli człowiek ma być coś wart."****** Na miłość nie trzeba czekać, przyjdzie sama. Nim się pojawi, ustalmy dla niej właściwe miejsce w naszym życiu.

MIŁOŚĆ – PRZYJAŹŃ

„...I tęskniąc sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie" – pisał Adam Mickiewicz, a dziś śpiewa Marek Grechuta. *„Jak poznać czy kocha naprawdę?"* – pytają czytelnicy.

„Miłość bez przyjaźni – to początek bolesnego dramatu. Przyjaźń doskonale obywa się bez miłości, a jeżeli jej towarzyszy, utrwala łączność przez nią nawiązaną... Przyjaźń – to wyróżniająca do określonej osoby lub określonych osób skierowana życzliwość, czynna i wierna... Prawdziwa przyjaźń jest trwała aż do końca, niezłomna, niezachwiana, gdyż znajduje oparcie w dogłębnym zaufaniu wzajemnym... Można śmiało powiedzieć, że miłość – to dwie dusze w jednym ciele, przyjaźń – to jedna dusza w dwóch ciałach. A gdy miłość łączy się z przyjaźnią, powstaje wówczas jedność podwójna i zupełna." Tak twierdzi Tadeusz Kotarbiński, współczesny filozof, wielki humanista. Kto kocha więc naprawdę ten okazuje i przyjaźń, szacunek dla własnej i cudzej osobowości.

O miłości jak i o życiu można mówić wiele i nigdy nie powie się wszystkiego. Tyle jest bowiem modeli miłości, ile jest ludzi i możliwych układów między nimi. I każdy sam tworzy kształt swojej miłości, który jest wyrazem jego wiedzy, szeroko pojętej kultury, także i tego co ma w głowie, nie tylko w sercu.

W dążeniu do zdobycia tej wiedzy nie jesteś samotny, zawsze na listy z serduszkiem czeka –

„ŚWIAT MŁODYCH"

Fot. **Romuald Pieńkowski**

* **Kazimierz Wierzyński – „Zielono mam w głowie"**
** **Wiersz Tadeusza Kubiaka pt. „Tylko ze strachu"**
*** **Władysław Witwicki – „Pogadanki obyczajowe" PIW, 1960**

Zagrajmy w zielone

Nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem ile będzie wynosił rekord świata w skoku o tyczce w roku 2978. Osiem metrów, osiem i pół? A może jeszcze więcej? Wiem tylko, że włókno szklane, z którego wykonana jest współczesna tyczka, zostanie wyparte przez jeszcze znakomitszy wynalazek. Zresztą ewolucja obejmuje także sprzęt i urządzenia innych konkurencji „królowej sportu"; wolframowe młoty, metalowo-plastykowe dyski, oszczepy, w lamusie znajdzie się nawet cudowny dywanik bieżni – tartan... O zmianach, jakie przewiduje się w sporcie samochodowym, narciarstwie, żeglarstwie, szybownictwie lepiej nie wspominać.

Ale nie wybiegajmy aż w tak daleką przyszłość. Co czeka nas w tej najbliższej? Mówi się, że już niedługo ogromna większość sportowych dyscyplin uprawiana będzie wyłącznie w halach. Pod kopułą ze szkła i betonu, wzorem piłkarzy ręcznych, siatkarzy, gimnastyków, koszykarzy..., wejść mają nawet piłkarze nożni, wieloboiści, strzelcy. Zdaję sobie sprawę z faktu, że sterylność powietrza, jego ruchy, a także ilość przebijających się przez atmosferę promieni słonecznych warunkuje osiąganie optymalnych wyników, rekordów. I zgadzam się, że wiatr nie jest sprzymierzeńcem skaczącego na wysokość 5,50 m tyczkarza, sprintera, ćwiczącej na równoważni gimnastyczki.

Jednak nie przesadzajmy. W miarę możliwości nie skazujmy zawodników na duszenie się w zamkniętych pomieszczeniach. Pozwólmy im wyjść na słońce, na świeże powietrze. Praw rządzących ludzkim organizmem dziś jeszcze nie da się zmienić. Skoro tak, to dlaczego wszystkie ligowe mecze, poza futbolem i rugby, rozgrywane są pod dachem?

Ba, żeby tylko ligowe. Zbiorowy marsz do hal obserwujemy nawet wśród zespołów najniższego szczebla, drużyn klasy A i B. Podobny zwyczaj, co budzi jeszcze większy niepokój, przyjmuje się w naszych szkołach. Co na to młodzieżowi organizatorzy sportu?

Uważam, że nawet wyczynu nie można uprawiać lekkomyślnie, ani też w myśl zasady – sztuka dla sztuki. Sportowiec nie może być również traktowany niczym automat do wyduszania rekordowych osiągnięć, do zapewniania ligowych punktów. Z biologicznego punktu widzenia jest to szalenie niesprawiedliwe. I dlatego też niżej podpisany, na jednym poziomie z udziałem w igrzyskach olimpijskich, stawia swobodny bieg w wiosennym przełaju, start w jesiennych marszach, turystykę rowerową i pieszą.

Tak się złożyło, że niedawno odwiedziłem kilka szkół województwa zamojskiego. Towarzyszący mi wizytator kuratorium, Czesław Czuk, z dumą opowiadał o wyrastających niczym grzyby po deszczu „zielonych salach gimnastycznych". Ich wynalazcą jest były nauczyciel wf szczebrzeszyńskiego ogólniaka, Bronisław Pietruszyński. Podziw budzą niezwykle proste urządzenia z drewna, lin, metalu. Proste, funkcjonalne, tanie. I co najważniejsze – stojące na wolnym powietrzu, wśród zielonej trawy, drzew. Czego tam nie można zobaczyć. Wymyślne konstrukcje drabin z przeróżnymi uchwytami, zawieszone na linach ławeczki, wkopane w ziemię kozły, tramy, drążki. Wszystko zbudowane jest z myślą o ćwiczących, o ich umiejętnościach, z myślą o naturalnych formach ruchu. Można tu pełzać, wspinać się, skakać...

Szkoda, że „gra w zielone", poza Zamojskiem, nie zdobywa sobie tylu zwolenników w innych rejonach kraju, że główną batalię o sportową bazę szkół toczy się wokół wybudowania hal, położenia na boisko pogłębiającego płaskostopie asfaltu. A przecież zwykłym, domowym sposobem można samemu urządzić kącik prawdziwego relaksu. „Gra w zielone" warta jest więcej niż świeczki.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Dyskusja bez podsumowania

Czekamy na Wasze wypowiedzi

PO TO CIĘ WYBRALIŚMY!

To twierdzenie najbardziej ich denerwuje. Ich, czyli przewodniczących samorządów klasowych. Gdy tylko próbują kogoś z klasy obarczyć jakimś zadaniem, pada zaraz sakramentalne: „przecież to ty jesteś gospodarzem!" Krystyna ma na to odpowiedź: „w przyszłym roku będę głosować na ciebie". Wybory różnie przebiegają. Nieraz klasa zgadza się na pierwszą z brzegu osobę. Jeśli wychowawca troszczy się o klasę, najczęściej mówi wtedy: „wybierzcie taką osobę, z której będziecie dumni, że was reprezentuje".

Przepis na dobrego gospodarza według nauczycieli: kumpel lubiany przez wszystkich, „dusza" klasowych imprez, a jednocześnie dobry, solidny i obowiązkowy uczeń. Tak wygląda ideał. W rzeczywistości przeważnie gospodarz trochę odstaje od tego wzorca, czasem brak mu inicjatywy, nieraz zadziera nosa lub skarży wychowawcy.

Zaprosiłam kilku przewodniczących klasowych samorządów, by porozmawiali o swoich kłopotach i osiągnięciach.

MAGDA: – Dlaczego mnie wybrali? Chyba po to, żeby mieć spokój. Nieraz wybierają kogoś cichego, żeby za bardzo się nie wtrącał. Że mną nie było im łatwo. Dawałam radę nawet wyrośniętym chłopakom. Ale czasami miałam już dość. Najbardziej denerwowałam się przy tablicy, bo wiedziałam, że nie mogę na nikogo liczyć. Gospodarz jest cały czas obserwowany przez klasę. Wygląda na to, że niektórzy czekają na jego potknięcie.

GRAŻYNA: – W mojej klasie też są dziewczyny, które mi zazdroszczą stopni. Beata powiedziała mi nawet: „Ja cię nienawidzę od pierwszej klasy, bo zawsze byłaś lepsza ode mnie. Przez ciebie nigdy nie będę prymuską". A przecież ona ma więcej czasu na naukę. Nieraz obowiązki gospodarza płacimy kosztem nauki!

KRZYSIEK: – Najwięcej kłopotów mam z tymi, którzy by chcieli być najlepsi, a nie mogą. Zawsze wtrącają swoje trzy grosze. Próbują rządzić. Gdy ich poproszę o pomoc – odmawiają.

DAREK: – Jeszcze trudniej pracować z najgorszymi. Jak dać sobie radę z kolegą, który na lekcji słucha magnetofonu i ogląda katalogi? Taki nie reaguje na polecenia nauczyciela, tym bardziej nie posłucha mnie.

ANKA: – Mam w klasie takiego chłopaka. Kilka razy zwracałam mu uwagę, że nie wywiązuje się z obowiązków dyżurnego. W końcu poradziłam się wychowawczyni. Powiedziała, żeby mu zabrać opaskę dyżurnego i na godzinie wychowawczej udzielić nagany.

MAGDA: – Dobrze, że mogłaś liczyć na wychowawczynię. Nasz wychowawca wcale się nami nie zajmuje. Na godzinach wychowawczych najczęściej robimy porządki w magazynie ze sprzętem sportowym.

PAWEŁ: – A u nas są dodatkowe lekcje polskiego. Przecież w tym czasie można by wiele spraw wyjaśnić i ustalić.

OLA: – Ja miałam jeszcze większy kłopot z wychowawczynią. Kiedyś po sprawdzianie z historii oddała mi kartki „Sprawdź i postaw stopnie". Jestem dobra z historii, to fakt. Ale... Koledzy prosili mnie, żebym wypożyczyła im prace do uzupełnienia. Nikomu nie dałam, więc byli na mnie źli. Bałam się, że będą mówić: na pewno sobie coś dopisała. Nie wiedziałam jakie stopnie komu postawić. Brałam pod uwagę nie tylko to, co było napisane, ale również zdolności uczniów.

KRYSTYNA: – Moja polonistka też mnie tak „urządziła". Leżałam w szpitalu, klasa przerabiała akurat pisanie listów. Pani kazała im napisać do mnie, a potem ja miałam ułożyć listy od najlepszych do najgorszych. Od tej kolejności zależała ocena. Nauczyciele nie powinni wymagać od nas, byśmy stawiali stopnie swoim kolegom.

DAREK: – „Ulubionym" zajęciem wychowawcy jest pytanie mnie – co było zadane, gdy klasa mówi, że nic. Co mam wtedy zrobić? Powiedzieć prawdę, czy potwierdzić zdanie klasy? Wychowawcy wymagają też, żeby gospodarz utrzymywał spokój i porządek, gdy nie ma nauczyciela. Jak to robić, jeśli nawet na lekcjach nie jest cicho?

GRAŻYNA: – Mnie się nieraz udaje. Gdy mamy sami lekcje, wtedy szybko coś wymyślam, rozdzielam tematy, mówię, że to nauczyciel kazał zapisać, i klasa mnie słucha.

ANKA: – U nas by to nie przeszło. Kiedyś próbowałam pisać zadania na tablicy – dostałam ścierką w plecy.

MAREK: – Najgorsze są właśnie te lekcje bez nauczyciela. Podczas jednej z nich nasz kolega wyniósł dziennik z pokoju nauczycielskiego. Zrobiła się wielka afera, przesłuchania. W tym czasie wraz z kolegami odnalazłem ten dziennik na boisku. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że go oddałem?

MAGDA: – Nieraz naprawdę nie wiadomo jak postępować. W ubiegłym tygodniu odwołano nam ostatnią lekcję. Wszyscy się ucieszyli, a tu pani dyrektor mnie wzywa i mówi – lekcja jednak będzie, zatrzymaj klasę. Umówiliśmy się, że pójdziemy do domu, a ja powiem, że nie zdążyłam ich złapać. Krystyna wygadała wszystko dyrektorce. Na szczęście udało mi się zatrzymać kolegów w szatni. Lekcja się odbyła. Ale gdy teraz klasa będzie chciała iść na wagary, to chyba nie pójdę.

Być lubianym przez kolegów, cieszyć się ich uznaniem – to chyba najważniejsze, by współpraca z klasą dobrze się układała. Jak to osiągnąć? Czy korzystać z pomocy wychowawcy narażając się na przezwisko skarżypyty. Czy zapisywać kolegów, którzy źle się zachowują? Co robić, gdy klasa chce się urwać z lekcji? Nielekko być gospodarzem klasy. Dużo obowiązków, które zajmują sporo czasu, a mało przyjemności. **Gdy dochodzi do konfliktu między klasą i nauczycielem najczęściej obrywa gospodarz. Raz z jednej, raz z drugiej strony.**

Czy przewodniczący samorządu musi być tylko „dozorcą"? Gdyby zajmował się rzeczywistym współgospodarzeniem, organizowaniem wspólnych imprez, był tym, który tworzy nowe wartości cementujące klasę, może miałby więcej satysfakcji ze swojej pracy. Ale sam gospodarz niewiele może, jeśli jego koledzy samorządność rozumieją tylko jako udział w wyborach. Nie tylko nie przychodzą do niego z pomysłami i propozycjami, ale nawet nie chcą mu pomagać w obowiązkach, jak na przykład wyznaczanie dyżurnych, pisanie sprawozdań, przygotowanie gazetki. I uważają, że są w porządku, bo przecież go wybrali, żeby... no właśnie, po co?

ANNA PACIOREK

PS. Imiona uczestników dyskusji zostały zmienione.

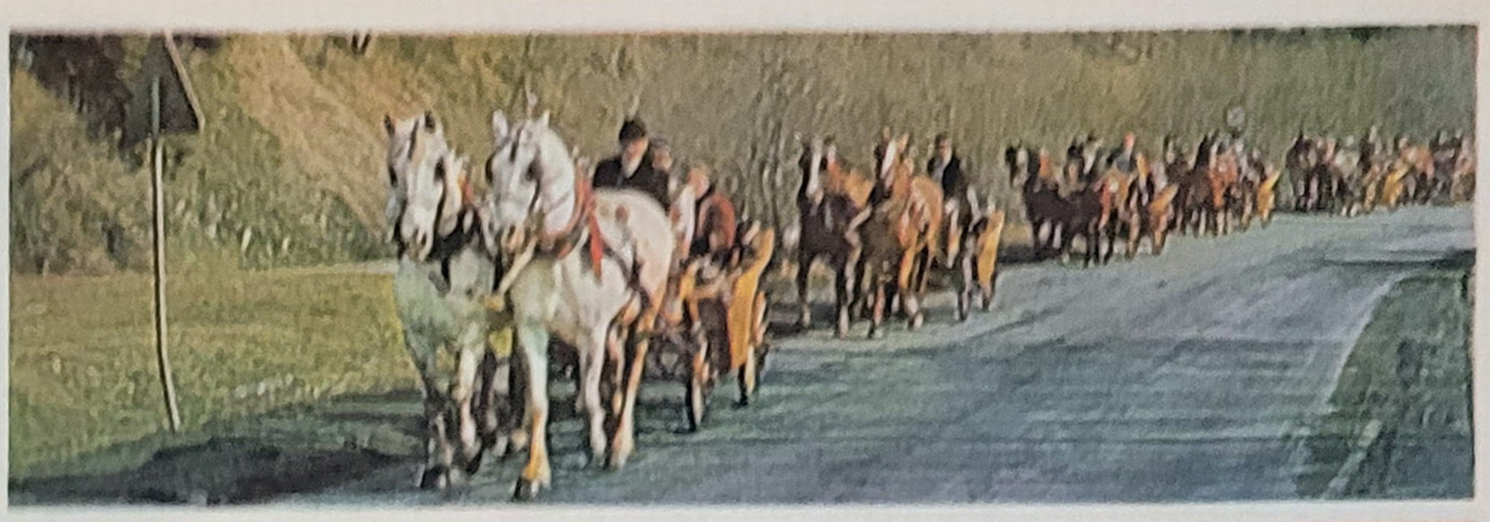

U GÓRALI WESELISKO

Fotoreportaż K. Adamowskiego

WCZORAJ OGŁOSZONE ZOSTAŁO ZADANIE

„Sprintem przez podwórko"

Ci, którzy słuchali wczoraj Studia PLUS, już przystąpili do jego wykonywania. Ci, którzy z jakichś przyczyn nie mogli go słuchać – mogą rozpocząć jego realizację dzisiaj.

Zadanie polega na zorganizowaniu (dla siebie i dla kolegów, i koleżanek z podwórka, którzy nie należą jeszcze do Waszego klubu podwórkowych przyjaciół) różnych zabaw ruchowych, a przede wszystkim biegów. Stąd też i nazwa zadania – „Sprintem przez podwórko". Mogą to być bardzo różne biegi – i takie na „całkiem poważnie" z mierzonym dokładnie stoperem czasem, i takie na „wesoło", z różnymi przeszkodami. Ilość przeszkód (a tym samym biegów) zależy od fantazji organizatorów, czyli Waszej. Może być i bieg w workach, i bieg z kubkiem pełnym wody (kubek metalowy, żeby się przy wywrotce nie stłukł!), i bieg z piłką podrzucaną do góry lub odbijaną od ziemi, i bieg na wytrzymałość po całym osiedlu, i bieg ze skakanką... Nie zapomnijcie o przygotowaniu jakichś drobnych, zabawnych nagród dla zwycięzców.

O tym, jak udały się Wasze biegi, ile ich było, jakie, ile w nich uczestniczyło osób i kto zwyciężył, napiszcie w meldunku (tym razem czerwonym długopisem lub czerwoną kredką, bo zadanie ma właśnie kolor czerwony), który trzeba jak najszybciej wysłać na adres: **Polskie Radio, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46, „Kolorowe Podwórka"**. Wśród grup podwórkowych, które je nadeślą sztab akcji rozlosuje upominki – proporce, samoprzylepne znaczki, czapeczki i chusty z okolicznościowym nadrukiem.

Kolejne zadanie zostanie ogłoszone w przyszły piątek. Słuchajcie Studia PLUS! **28 kwietnia, godz. 15.30, program II Polskiego Radia.**

REDAKCYJNA POCZTA

„Siłaczka" tylko przeszkadza

Jedna z dziewczyn z naszej klasy trenuje w klubie. Gdy na wychowaniu fizycznym gramy w cztery ognie, w siatkówkę itp. wówczas popisuje się swoimi umiejętnościami. Wyrywa wszystkim piłkę i wali z całej siły w przeciwników. Albo, gdy ona jest zbita i powinna zejść z boiska, zaczyna się kłótnia. Wszystkie dziewczyny wrzeszczą na siebie. Próbowałyśmy rozmawiać i wytłumaczyć, że tak nie można, ale to na nic. Co mamy robić, by na wychowaniu fizycznym była miła, przyjemna atmosfera? Czy w innych szkołach też się panoszą takie „siłaczki"?

Magda

wychowawcę, dlatego też było ono niesprawiedliwe. Twierdzę, że Twój wychowawca nie powinien tak postąpić i mam nadzieję, że już wkrótce uda Ci się tę przykrą sprawę, która zaistaniała wyjaśnić, a ponieważ nie masz dużych trudności z nauką, z pewnością zostaniesz przyjęty do technikum wieczorowego.

Mariola

Paweł Błaszczyk 87-800 Włocławek ul. Rzeczna 6/8 m. 22. Interesuje się muzyką, zbiera widokówki miast i teksty piosenek. Poszukuje przyjaciół o podobnych zainteresowaniach.

Chcemy nawiązać kontakt

Wkrótce odbędzie się w naszej szkole uroczystość nadania szczepowi imienia Mikołaja Kopernika. W związku z tym chcielibyśmy nawiązać korespondencję ze szczepem, który nosi imię naszego przyszłego patrona. Pragniemy wymienić doświadczenia związane z pracą w szczepie, chcemy się również dowiedzieć, jak przebiegała u nich uroczystość nadania imienia.

Szczep Harcerski przy Szkole Podstawowej nr 9 im. M. Kopernika ul. Powstańców Wielkopolskich 23 75-100 Koszalin

Chciałem zapomnieć

Poznałem na zabawie dziewczynę, która spodobała mi się. Często razem tańczyliśmy i w tańcu dałem jej do zrozumienia, że chciałbym się z nią bliżej zaprzyjaźnić. Spotykaliśmy się, chodziliśmy do kina i na spacery. Od pewnego czasu miała ona dla mnię coraz mniej wolnych chwil. Niedawno udała, że mnie w ogóle nie zna. Postanowiłem nie przejmować się tym i pomyślałem, że wiele jest jeszcze dziewczyn na świecie. Jednak mimo że chciałem o niej zapomnieć, wciąż o niej myślę. Nie mogę znaleźć sobie innej, prawdziwej przyjaciółki. Chciałbym, aby czytelnicy „ŚM" poradzili w tej sprawie.

Tomek

W sprawie Darka

Przeczytałam list Darka z 25 nr „ŚM" i stwierdziłam, że niesłusznie oskarżono go o wywabianie w dzienniku oceny niedostatecznej z matematyki. Jak pisałeś, Darku, oceny otrzymane z odpowiedzi zostały wpisane do dziennika oraz zeszytu przedmiotowego. Oskarżenie o wywabienie dwójki z dziennika nie zostało dokładnie i obiektywnie przemyślane przez twojego

Uwaga! Otrzymaliśmy list pisany przez klasę do Danusi Myzik, omyłkowo zaadresowany na naszą redakcję. Ponieważ nie jesteśmy w stanie go doręczyć ani też zwrócić, brak bowiem na kopercie adresu nadawcy, prosimy klasę, aby do nas napisała, wówczas list zwrócimy.

Prosimy również Bożenę Mikołajek, która pisała do nas o swojej chorobie, aby podała nam swój aktualny adres. (wm)

Niedawno prasa krajowa, a za nią i „Świat Młodych" (nr 25 z 28.III br.), podała informację o tym, że nasz przemysł lotniczy wkrótce rozpocznie produkcję ulepszonej odmiany samolotu znanego dotąd jako An-14 „Pszczółka". Na pytanie: – Co to będzie za samolot? – odpowiada poniższy artykuł.

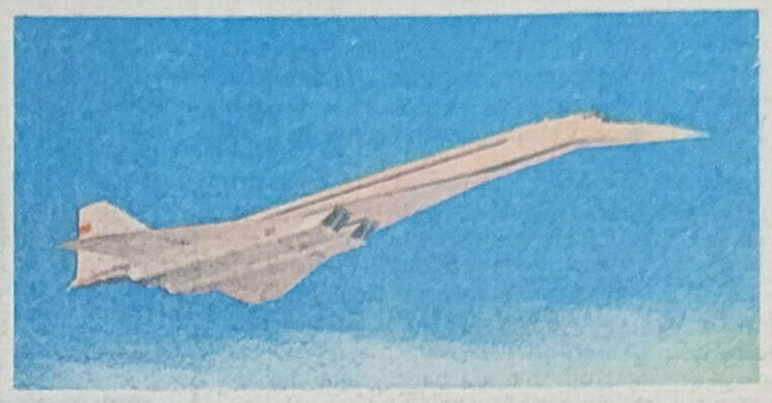

Samolot, o którym piszemy obok jest przeznaczony do obsługiwania krótkich tras i w krajach takich jak Polska może oddać nieocenione usługi w komunikacji międzywojewódzkiej

Wielkie samoloty transkontynentalne – jak ten na zdjęciu – są bezużyteczne w komunikacji na bliskie odległości. Wymagają bowiem specjalnych lotnisk i pełnej obsady – zwykle kilkuset pasażerów – gdyż są bardzo drogie w eksploatacji

Fot. archiwum

Polska lotnicza

„Pszczółka" JEJ BIOGRAFIA I ANATOMIA

Niezależnie od komunikacji lotniczej pomiędzy większymi miejskimi ośrodkami, wyposażonymi w specjalne lotniska z betonowymi pasami startowymi, zawsze istniała potrzeba utrzymania nieregularnych połączeń, również i z mniejszymi ośrodkami, nawet z tymi, które lotnisk w ogóle nie posiadają. Na krótkich odległościach, średnie samoloty pasażerskie wbrew pozorom nie zapewniają jednak szybkich połączeń. Lotniska komunikacyjne są na ogół dość znacznie oddalone od centrów miast, więc pasażerowie wiele czasu – zyskanego przelotem – tracą na przejazd. Często uzbiera się tego kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt kilometrów.

W wielu krajach kontynuuje się więc prace nad samolotami krótkiego startu i lądowania. Ich zalety – jeśli są wyposażone w mało hałaśliwe silniki – są bezsporne. Szczególnie ważne zaś jest to, że mogą lądować i startować z małych nawet lądowisk (równe pola nie obrzeżone zbyt wysokimi drzewami czy zabudowaniami).

PIERWSZY „ANTEK" PRZYCHODZI NA ŚWIAT

Jednym z radzieckich konstruktorów lotniczych, który podjął taki temat, jest **Oleg Antonow**. Jest on twórcą wielu typów szybowców i samolotów, od stosunkowo małych do powietrznych gigantów transportowych – oznaczonych jego inicjałami **An**.

Pierwszym był jednosilnikowy dwupłatowiec „Antek", samolot An-2, zdolny do przewiezienia ładunku o ciężarze do 1500 kg lub 12 pasażerów (jest on produkowany w Polsce, w olbrzymiej, bo wynoszącej kilkanaście tysięcy sztuk, serii i w licznych odmianach).

ZMIANY, USPRAWNIENIA, ULEPSZENIA

Antonow opracował wkrótce potem dwusilnikowy lekki samolot pasażerski krótkiego zasięgu, mogący również służyć jako wielozadaniowy. Jego napęd stanowiły dwa gwiazdowe silniki o mocy 300 KM każdy. Górnopłat zastrzałowy z płatem o obrysie prostokątnym, wyposażony w tzw. sloty, klapy, szczelinowe lotki – poważnie skracające długość rozbiegu przy wzlocie, a dobiegu przy lądowaniu. Konstrukcja samolotu była całkowicie metalowa. Podwozie trójkołowe stałe, niskociśnieniowe umożliwiające korzystanie nawet z pól o miękkim gruncie. Prędkość maksymalna – 160–200 km/h. Start i lądowanie – w granicach 120–140 m. Udźwig maksymalny 700 kg lub 7 pasażerów. Do obsługi samolotu w locie wystarczał 1 pilot.

Nowa konstrukcja otrzymała oznaczenie An-14 i nazwę „Pszczółka" (ros. „Pczelka".) Pierwszy lot odbył się w 1958 roku. Produkcję seryjną rozpoczęto w 1965 roku, a równocześnie konstruktor, nieustannie obserwując rozwój samolotów tej klasy w świecie, nadal wprowadzał ulepszenia i zmiany konstrukcyjne. Jedną z pierwszych zmian było poprawienie sprawności aerodynamicznej płata oraz sterowności kierunkowej.

Jednakże największą zmianą, wprowadzoną najpóźniej, było zastosowanie silników turbośmigłowych o mocy 810 KM każdy. Prototyp nowej wersji jeszcze oznaczony An-14M oblatany został we wrześniu 1969 roku.

An-28 – takie jest ostateczne oznakowanie samolotu – ma być seryjnie produkowany w Polsce i wykorzystywany w wewnętrznej komunikacji lotniczej do połączeń nie tylko z miastami wojewódzkimi, ale nawet i z ośrodkami o mniejszym znaczeniu administracyjnym, ale za to dużym – gospodarczym (np. kopalnie, duże zakłady przemysłowe, kombinaty rolnicze itp.). Samolot An-28 ma bowiem wiele odmian pozwalających wykorzystać go w różnych dziedzinach transportu i komunikacji. Kabina pilota oddzielona jest od pozostałych pomieszczeń ścianką z drzwiami umożliwiającymi bezpośredni kontakt z pasażerami. Ma ona ponadto własne wyjście na zewnątrz. Tylna

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

WEŁNĄ, ZŁOTEM I JEDWABIEM TKANE

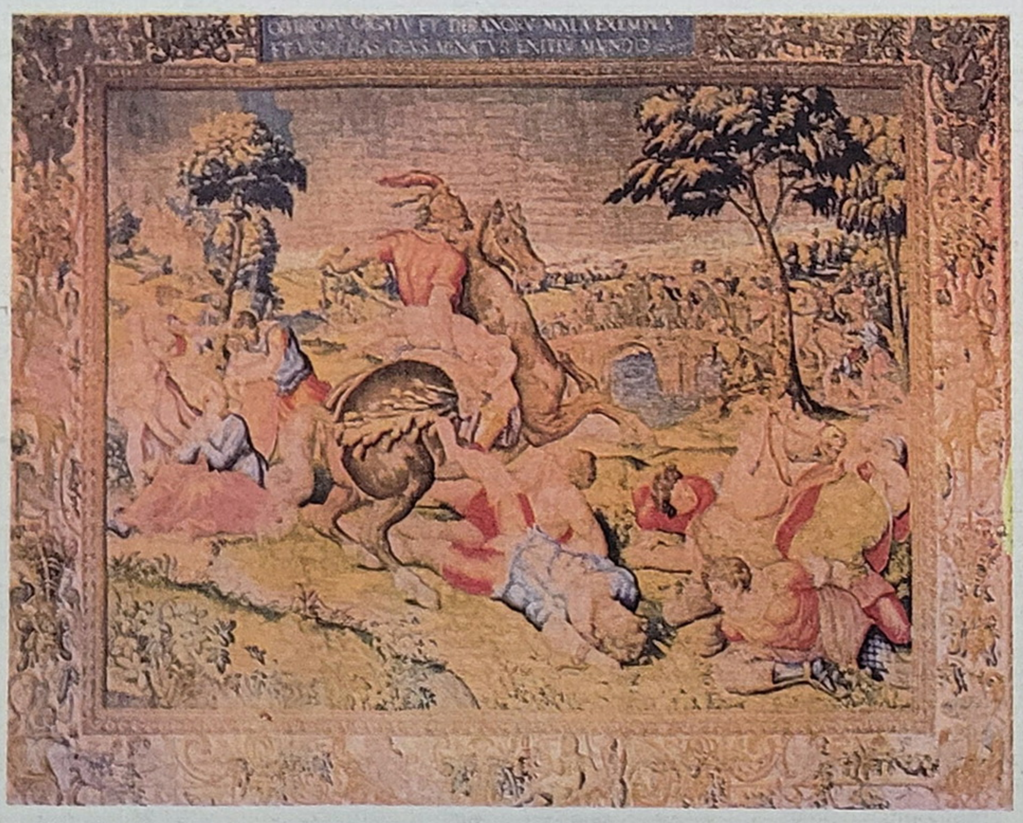

Oto królewska tapiseria, przekazana przez Związek Radziecki, pt. „Upadek moralny ludzkości przed potopem", o wymiarach – 4,75 × 6,21 m, która już wkrótce będzie eksponowana w galerii arrasów na I p. Zamku Królewskiego w Warszawie.

Od wieków, ozdabiając wnętrza najświetniejszych dworów Europy, stanowiły przedmiot dumy i świadectwo zamożności ich właścicieli. Do dzisiejszego dnia nie straciły nic ze swojej ogromnej wartości artystycznej, zyskując jednocześnie coraz większą wartość materialną. W zbiorach polskich muzeów mamy ich blisko półtorej setki...

W pustych, pośpiesznie ewakuowanych komnatach wawelskiego zamku stoją wielkie kufry, tuby i skrzynie. Zapakowano w nie największe skarby naszej narodowej kultury – rękopisy, militaria i bezcenną kolekcję jagiellońskich arrasów. Trzeba je wywieźć stąd jak najprędzej, zanim hitlerowskie oddziały wkroczą do miasta. Niestety, ogólna panika i bezradność władz, wykluczają wszelką pomoc w uzyskaniu jakiegokolwiek środka transportu. Sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna...

Z tej zdawać by się mogło beznadziejnej opresji ratuje je przybyły nieoczekiwanie do Krakowa stary flisak Miś. Drogocenny ładunek błyskawicznie ląduje na jego galarze i w ostatniej dosłownie chwili opuszcza miasto, wyruszając w daleką i niepewną podróż. Po kilku dniach żeglugi kufry, tuby i skrzynie zostają przeniesione na chłopskie fury, a z nich do czterech zdezelowanych autobusów. W jednym z nich brakuje zbiornika na paliwo i cała kawalkada posuwa się do przodu tylko dzięki pomocnikowi kierowcy, który siedząc na masce, bez przerwy dolewa benzyny wprost do gaźnika.

Wreszcie, po kilku dniach przedzierania się przez zatłoczoną uciekinierami zaleszczycką szosę, docierają do Rumunii, aby stamtąd, po kolejnym przeniesieniu ładunku – tym razem na statek, dostać się do Francji. Niestety, nie oznaczało to bynajmniej kresu ich wojennej tułaczki. W 1940 r. wawelskie skarby na pokładzie „Krynicy" wyruszają w swój najdłuższy rejs na drugą półkulę, skąd powrócą do kraju dopiero po 21 latach.

Umiłowanie sztuki czy kosztowny kaprys?

Pierwsze zamówienia z najbogatszych dworów Europy poczęły napływać do słynnych flandryjskich warsztatów rzemieślniczych już w końcu XIV wieku. Tu najwcześniej rozwinęło się tkactwo artystyczne, doprowadzone później do najwyższego kunsztu i doskonałości. Cóż bowiem godniej mogło przyoz-

Tekst i zdjęcia: JANUSZ WOLNIEWICZ

Lizbona stolica żeglarzy

Najpiękniejszą, moim zdaniem, dzielnicą Lizbony jest wspaniała Alfama. Przekonanie takie płynie pewnie stąd, że przyzwyczajeni jesteśmy do tzw. ciągów architektonicznych, pudełkowatych domów i bloków. Tymczasem Alfama (zdjęcie 1 i 3) to orgia zaułków, stromych i krętych uliczek, wykuszy, okien, balkonów i życzliwych, jakkolwiek niezbyt zamożnych, ludzi. W tej niesłychanej ciasnocie, nad którą królują resztki poarabskiego zamku – krążą tramwaje, rozpychają się ciężarkówki, ba, kursują nawet piętrowe autobusy, wypełniające całkowicie światło ulicy, od ściany do ściany. Z Alfamy widać dokładnie potężny Tag i sąsiednie wzgórze, na którym rozlewa się inna dzielnica – Bairro Alto. Stamtąd znowu widać rzekę Tag, ponieważ ta arteria życia w portugalskiej stolicy, podobnie jak przed wiekami – dominuje w życiu miasta.

Dziś rzeką, jak niegdyś, przed wiekami, tłumnie płyną statki, promy, łodzie i wszelki wodny drobiazg. W gęstwie frachtowców i zbiornikowców nie brak oczywiście i polskich jednostek. Podczas mojej bytności cumowały w Lizbonie „Ursus" i „Westerplatte", pływające w barwach Polskich Linii Oceanicznych. Oba nasze statki, aby znaleźć się przy nabrzeżu musiały tak jak dawniej karawele – przedefilować obok wspaniałej Torre de Belém, wieży wybudowanej na początku XVI wieku. Czcigodna ta budowla była w owych czasach obronnym fortem strzegącym rzekę i miasto przed wizytą piratów lub innych niepożądanych gości. Umiejscowiona niegdyś na piaskowej ławicy, wspaniale uzbrojona – stanowiła dla intruzów zaporę nie do przebycia. Dzisiaj (zdjęcie 4) funkcjonuje jako relikt dawnej świetności Portugalii i świadectwo zdolności architektów króla Manuela. Panowanie tego monarchy (1495–1521) przypada w całości na okres najpełniejszego rozkwitu kraju nad Atlantykiem, skąd dzielni luzytańscy żeglarze ruszali w nieznane, aby odkrywać nowe światy.

Obok przepięknej wieży, do najszacowniejszych zabytków Lizbony, zniszczonej niemal totalnie wskutek trzęsienia ziemi w roku 1755, należy klasztor Hieronimitów. Tu, w jednej z krypt kościoła, spoczywają doczesne szczątki Vasco da Gamy, który stąd właśnie, z plaży nad Tagiem, ruszył w swoją przesławną podróż do Indii. Warto też dodać, że obecnie część zabudowań klasztornych zajmuje muzeum morskie, czyli Museu de Marinha.

Do nowszych budowli poświęconych dawnej chwale należy przepiękny Pomnik Odkrywców (zdjęcie 2) (Padrao dos Descobrinentos) zbudowany w roku 1960, oczywiście także nad Tagiem – w kształcie karaweli. Uhonorowano w ten sposób pięćsetną rocznicę śmierci księcia Henryka Żeglarza, który położył wiekopomne zasługi dla portugalskiej ekspansji zamorskiej. Figura księcia, z modelem XV-wiecznej karaweli w dłoni, jest czołową postacią pomnika, umieszczoną na dziobie kamiennego statku. Kiedy fotografuje się ten monument od strony ujścia Tagu do Atlantyku – w kadr wchodzi nieuchronnie delikatny profil mostu Salazara, który po przewrocie wojskowym otrzymał nazwę „25 kwietnia". W takim kadrze, razem z księciem Henrykiem i owym mostem – mieści się więc ogromny kawał historii Portugalii.

Wiele też o przeszłości tego kraju można dowiedzieć się w pobliskim muzeum morskim. Trudno oprzeć się wzruszeniu, kiedy widzi się autentyczne galiony ze słynnych okrętów, czy sterane czasem słupy, które wbite były u ujścia Kongo, czy na wybrzeżu Angoli pod koniec piętnastego stulecia. Owe słupy kamienne brali na pokład portugalscy żeglarze. Znaki takie ustawiono potem w widocznych miejscach nieznanych krain. Spełniały one kilka zadań jednocześnie: były konkretnym dowodem, że odkrywca rzeczywiście dotarł do miejsca, o którym donosił, były znakami orientacyjnymi dla następców, dowodziły praw Portugalii do nowych ziem, a ponadto – dzięki krzyżom – były symbolem szerzenia się chrześcijańskiej wiary. Kilka takich prawie 500-letnich dowodów dzielności Portugalczyków jest do obejrzenia w jednej z sal Museu de Marinha.

Wbrew jednak oczekiwaniom, muzeum to nie jest zbyt bogate. Przyczyna leży prawdopodobnie w tym, że ogromnie wiele wartościowych przedmiotów, reliktów sławnej przeszłości portugalskich odkrywców, jest w posiadaniu najsławniejszych w kraju rodów i zapewne nigdy nie zostanie udostępnione całemu narodowi. A szkoda!

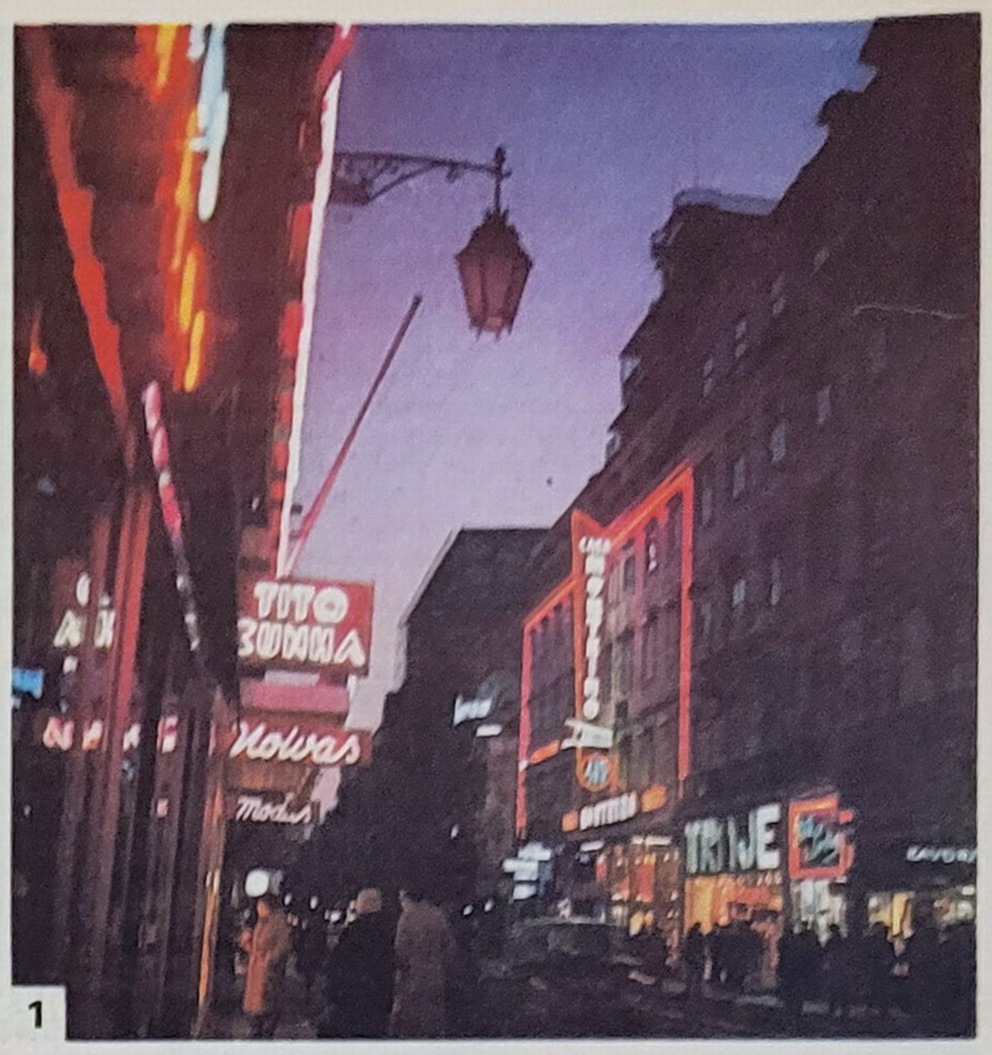

1

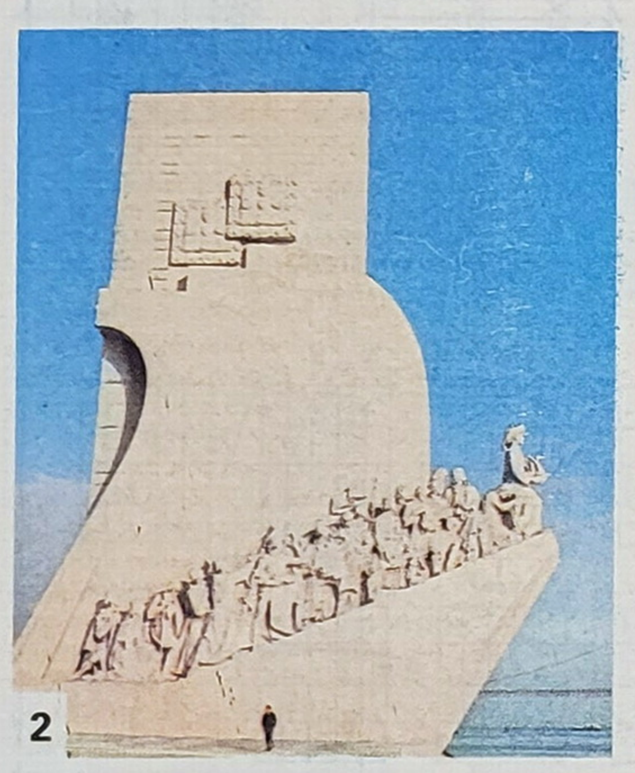
2

3

4

dobić komnaty możnowładców, dodać splendoru, barwności i bogactwa królewskim rezydencjom, jeśli nie owe wspaniałe, jedwabno-złote obrazy, wielkością i tematyką harmonizujące zawsze z pomieszczeniem.

Wkrótce moda na arrasy ogarnęła całą Europę. I choć w XVI w. w samej tylko Belgii doliczono się blisko stu znakomitych pracowni tkackich – a przecież podobne istniały również w Holandii, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii – ledwie można było nadążyć z produkcją. Dwory dosłownie prześcigały się w zamówieniach. Posiadanie kolekcji tapiserii* stało się niemalże punktem honoru każdego szanującego się władcy. Podobno niektórzy z nich gromadzili owe skarby z tak ogromną zachłannością, że z braku wolnego miejsca w komnatach budowali dla nich specjalne pomieszczenia. Nie zawsze więc wielkość zbioru świadczyła o wyrobionym smaku i rozmiłowaniu w sztuce ich właściciela, lecz często o snobizmie lub zwykłym kaprysie. Tyle tylko, że był to kaprys piekielnie kosztowny. Znana była swego czasu historia pewnego nie najbogatszego niemieckiego księcia, który przez dwa lata gromadził pieniądze, aby móc wykupić uprzednio zamówiony j e d e n arras.

W Polsce podziwiano je po raz pierwszy za sprawą królowej Bony, która w początkach XVI wieku przywiozła na Wawel 12 włoskich tapiserii w ślubnym posagu. Wielkim ich miłośnikiem, nieprzeciętnym znawcą i zapalonym kolekcjonerem okazał się później jej syn – król Zygmunt August. Na jego to właśnie zamówienie w sześciu najlepszych brukselskich warsztatach wykonano wspaniałą serię monumentalnych arrasów figuralnych, przedstawiających sceny ze Starego Testamentu. Przygotowano je według projektów słynnego malarza – Michiela Coxcie, zwanego nie bez racji „Rafaelem flamandzkim". W innym, nie mniej znanym ośrodku sztuki tapiseryjnej – Antwerpii – powstało kilkadziesiąt werdiur – tkanin o motywach roślinnych i zwierzęcych, tak doskonałych, że z powodzeniem mogły służyć jako atlasy flory i fauny. Na tym jednak zamówienie króla wcale się nie skończyło. Najliczniejszą bowiem grupę stanowiły niewielkie arrasy z herbami państwa, insygniami władzy, monogramami, czy też tzw. groteskami: nimfami, satyrami, martwą naturą.

W sumie, w ciągu dziesięciu niespełna lat powstała kolekcja licząca 142 tkaniny, których wartość materialna z racji szlachetnego tworzywa równała się ni mniej, ni więcej, tylko... 20 tysiącom wierzchowców najczystszej krwi! Stanowiło to w owych czasach bajońską sumę! Równie wysoka była ich wartość artystyczna – wszystkie tapiserie charakteryzował wysoki kunszt artystycznego rzemiosła, bogactwo form i kolorystyki oraz drobiazgowy realizm. Nic więc dziwnego, że jagiellońska kolekcja króla Zygmunta stanowiła przez wiele wieków nie lada chlubę, dowód zamożności i potęgi XVI-wiecznej Polski.

Łakomy kąsek

Zygmunt August, świadom wartości swojego zbioru, który w latach siedemdziesiątych XVI stulecia liczył 356 sztuk unikalnych tkanin oraz pragnąc zapewnić im bezpieczny los, zapisał je w testamencie swoim trzem siostrom; po ich śmierci miały one przejść na własność państwa. Niestety, stało się zupełnie inaczej. Już pod koniec XVI wieku część skarbu pojawiła się w wielu magnackich rezydencjach Polski, część pojechała z jedną z sióstr do Szwecji, kilka sztuk wysłano papieżowi Urbanowi VIII. A w niecałe ćwierć wieku później Jan Kazimierz zastawił 157 arrasów u gdańskiego kupca Jana Gratty, bo właśnie pilnie potrzebował pieniędzy na opłacenie zaciężnego wojska. Sprawa wykupu tego zestawu ciągnęła się przez następne sto lat. Ostatni raz nieco już nadwerężona kolekcja przyozdobiła komnaty warszawskiego zamku w roku 1764, podczas uroczystości koronacyjnych ostatniego króla Polski – Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Nadeszły rozbiory i lata kolejnej tułaczki. Wywiezione do Rosji arrasy zdobiły wnętrza rezydencji carycy Katarzyny i licznych rosyjskich dworów. A że wymiarami nie pasowały do nowych wnętrz, więc bezceremonialnie je obcinano, lub też rolowano, jeśli np. zachodziły na gzymsy czy kominki. Mniejsze służyły za dywany, zasłony lub pokrowce na kapy...

Gdy w roku 1921, na mocy traktatu ryskiego, zagrabione przez carat dobra naszej narodowej kultury – w tym resztki świetnej ongiś wawelskiej kolekcji tkanin powróciły do kraju – wydawało się, że wreszcie nastał kres ich wędrówek. Niestety, nie było im sądzone pozostać na stałe w królewskich komnatach. Wybuchła wojna i nasze narodowe skarby znów wyruszyły w kolejną, tym razem bardzo daleką podróż.

Rekord popularności „Dziejów Noego"

Technologia produkcji arrasów przetrwała do dziś w niezmienionej od wieków formie, tyle tylko, że współcześnie nazywa się je gobelinami. Zanim flamandzki, francuski czy włoski tkacz przystąpił do żmudnej, trwającej nierzadko kilkanaście miesięcy pracy, artysta malarz musiał przedstawić klientowi kilka wersji projektu przyszłej tapiserii. Dopiero według tej, która najbardziej przypadła klientowi do gustu, powstawała wełniana lub jedwabna tkanina, suto przetykana szczero-złotą nitką. A że powierzchnie owych tapiserii bardzo często osiągały wielkość kilkunastu metrów kwadratowych, więc dla wiernego odtworzenia malarskiego projektu – w zupełnie innym przecież tworzywie – szkicowano węglem na osnowie główne linie rysunku. Wątek prowadzono zwykle po lewej stronie arrasu, stąd też zdarzały się czasami zabawne pomyłki. Dokładni historycy sztuki wypatrzyli np. dwie lewe nogi u pewnej biblijnej postaci oraz miecz przypasany nie po tej, co należało, stronie.

Największym powodzeniem cieszyły się tematy biblijne, choć równie często uwieczniano na wpół fantastyczny, na wpół prawdziwy, zadziwiający różnorodnością świat roślin i zwierząt oraz królewskie herby i inicjały. Wszelkie rekordy popularności pobiła jednak ośmioczęściowa seria „Dzieje Noego", zaprojektowana przez wspomnianego już Coxcie, której do końca XVII w. wykonano aż 19 kompletów, a każda z tych wersji różniła się formatem, kolorystyką i kompozycją.

Przed kilkoma miesiącami przybył ze Związku Radzieckiego do Polski jeszcze jeden jagielloński arras z wawelskiej serii „Potopu". Już wkrótce będzie on zdobił jedną z sal Zamku Królewskiego w Warszawie.

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **K. Adamowski**

---

* **Tapiseria** – tkanina dekoracyjna, naśladująca obraz. W Polsce zwano ją również arrasem, od miasta w płn. Francji słynącego w XIV w. z ich wyrobu.

5 MINUT Z ANKĄ

Przyjechała do mnie babcia. Zawsze przyjeżdża wiosną na kilka tygodni. Tata sobie żartuje, że jest to... aktywny udział naszej babci w „Młodzieżowej Wiośnie Czynów" – babcia się w ten sposób odmładza, a nas zmusza do generalnych domowych porządków. I to – rzekłabym – zmusza w sposób arcyprzemyślny. Nic nie mówi, tylko gdy zostaje przed południem sama w domu, rozpoczyna jakąś wielką robotę. Taką, która przerasta jej siły, więc gdy wracamy, nie pozostaje nam nic innego, jak przejąć od babci pałeczkę i rzecz dokończyć. W zeszłym roku np. tą metodą doprowadziła do odmalowania całego mieszkania, bo co parę dni zabierała się do malowania jakiejś ściany w którymś z pomieszczeń. A farbę przytaskiwała uprzednio cichcem, tak że nikt z nas niczego się nie spodziewał.

Myśmy się już do tej metody działania przez zaskoczenie w wykonaniu babci przyzwyczaili, więc zawsze, gdy przyjeżdża, jesteśmy w pełnej gotowości. A mimo tego w tym roku też nas zaskoczyła. Przychodzimy do domu pierwszego popołudnia i... nic, drugiego – też nic i trzeciego, i czwartego również. I cali w nerwach jesteśmy, jaki to babcia szatański plan szykuje. Dopiero wczoraj się zdekonspirowała. Wracam ze szkoły, a tu – wszystkie moje ciuchy wybebeszone z szafy na tapczan. I posegregowane. Na jednej kupie – te, co do których babcia nie ma żadnych zastrzeżeń, na drugiej – te, co do których ma jakieś projekty: coś zaszyć, coś przyszyć, coś odpruć, wyczyścić, uprać, odprasować... Nie muszę dodawać, że kupa nr 2 znacznie obszerniej wyglądała od pierwszej. Jejku, aż mnie zatkało z przerażenia! Bo z góry wiedziałam, że tę inicjatywę babci będę musiała zrealizować absolutnie samodzielnie i indywidualnie. To nie malowanie czy wiórkowanie, które uskuteczniališmy zbiorowo w rodzinnym tercecie. A jeszcze moi przodkowie ręce zacierają z zadowolenia, że ten babciny projekt ich nie dotyczy i że mają wolne.

Rozżaliło mnie to ich zadowolenie okrutnie. Czy to ładnie cieszyć się z czyjegoś nieszczęścia?! No, prawdę mówiąc, to korzyść z tego wszystkiego będę miała ja, ale co się przy tym natyrałam. I nie ma obawy, żeby babcia mi choć jeden oberwany guzik darowała, nie daruje. Ogólnie rzecz co prawda biorąc – sama jestem sobie winna, ale nawet czując swoją winę nie jestem w stanie przysiąc, że od tej pory będę utrzymywała swoje ciuchy w porządku na bieżąco. Choć wydaje mi się, że babcia na rodzaj takiej deklaracji z mojej strony oczekuje. I nie jest wykluczone, że wtedy tym razem by mi pomogła.

Tak... Trudna decyzja. Przecież nie wypada rzucać słów na wiatr. Oj, ta babcia! Ale mnie zażyła, nie ma co!

ANKA

Świat muzyki

Redaguje:
LECH NOWICKI

Maryla Rodowicz była gościem honorowym festiwalu, wystąpiła w drugiej części koncertu laureatów.
Fot. **M. Żbikowski**

Toruń '78

MŁODZIEŻOWY FESTIWAL PIOSENKI

Dwa lata temu Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej podjął się niezwykle trudnego zadania rozśpiewania młodzieży. Zorganizowano Warsztaty Muzyczne w Lublinie, zaproszono do współpracy znanych autorów tekstów i kompozytorów, powołano środowiskowe i wojewódzkie Kluby Piosenki, wymyślono Młodzieżowy Festiwal Piosenki, który już po raz drugi odbył się w Toruniu w dniach od 6 do 9 kwietnia. Wcześniej przeprowadzono eliminacje w gminach i mniejszych ośrodkach, potem w województwach – brało udział około 650 wykonawców, by wreszcie tych najlepszych zakwalifikować do toruńskiego finału. Ostatecznie o miejsca w **„Złotej dziesiątce"**, premiowane awansem do Opola, gdzie dominować ma piosenkarska młodzież, walczyło 15 solistów i 27 zespołów. Liczebna przewaga zespołów cieszy, jako że jest to właściwa forma amatorskiego muzykowania. Cieszy tym bardziej, że są to zespoły bardzo różne i bardzo dobre. Lubelski BAJM – na przykład – miał w swoim repertuarze piosenki – propozycje do wspólnego śpiewania, za co dostał nawet specjalną nagrodę, bo wszyscy narzekają na brak takowych, łódzki KONSONANS z fletami poprzecznymi, wyróżniał się ciekawymi opracowaniami i bezbłędną ich realizacją, zakopiański KRYWAŃ przypomniał, że istnieje coś takiego jak polski folklor, szczególnej urody, którego wstydzić się nie należy. ŻEGNAJCIE CHŁOPCY I UBODZY KREWNI udowodnili, że polska młodzież potrafi się także uśmiechać, bawić, choć bodaj od lat czterech próbuje się jej wmówić, że powinna celebrować „poezję śpiewaną" ze smutkiem przeogromnym. Choć znalazły się poza „Złotą dziesiątką", na komplementy zasługują grupy: CZAS ze Strzelec Krajeńskich i PLUS z Zielonej Góry, też uśmiechające się, też śpiewające piosenki dla młodzieży i o młodzieży. Oby takich zespołów i piosenek było jak najwięcej.

W grupie solistów dominowały dziewczyny. Pięć z nich, a to: Barbara Gołaska, Grażyna Auguścik, Monika Dutkiewicz, Bożena Markiewicz i Renata Świerczyńska znalazło się w „Złotej dziesiątce". Nagrodę główną festiwalu – „Złotego Flisaka" zdobyła Barbara Gołaska, dziewczyna na pewno zdolna, obdarzona przez naturę oryginalną barwą głosu, umiejąca do tego grać na gitarze. Bijąc brawo laureatce proponuję, aby w roku przyszłym zrezygnować z przyznawania tej nagrody. Chyba lepiej będzie, jeśli młody wykonawca opuści gród Kopernika jako jeden z najlepszych. Ta „Złota dziesiątka", to naprawdę świetny pomysł!

Spojrzałem na ten festiwal od strony interesów ZSMP i instytucji patronujących amatorskiemu muzykowaniu, a przecież Toruń'78 był także eliminacją do Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki, więc ci najlepsi pojadą do Opola, gdzie walczyć będą z laureatami Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie i adeptami Radiowego Studia Piosenki o prawo startu na estradzie profesjonalnej. A potem... Kto im pomoże, zapewni repertuar i fachową opiekę? Jak przyjmie ich publiczność, niezbyt łaskawa dla debiutantów? Kiedy po raz pierwszy wejdą do radiowego studia? Czy nagrają płytę? Pytania, pytania, wiele pytań...

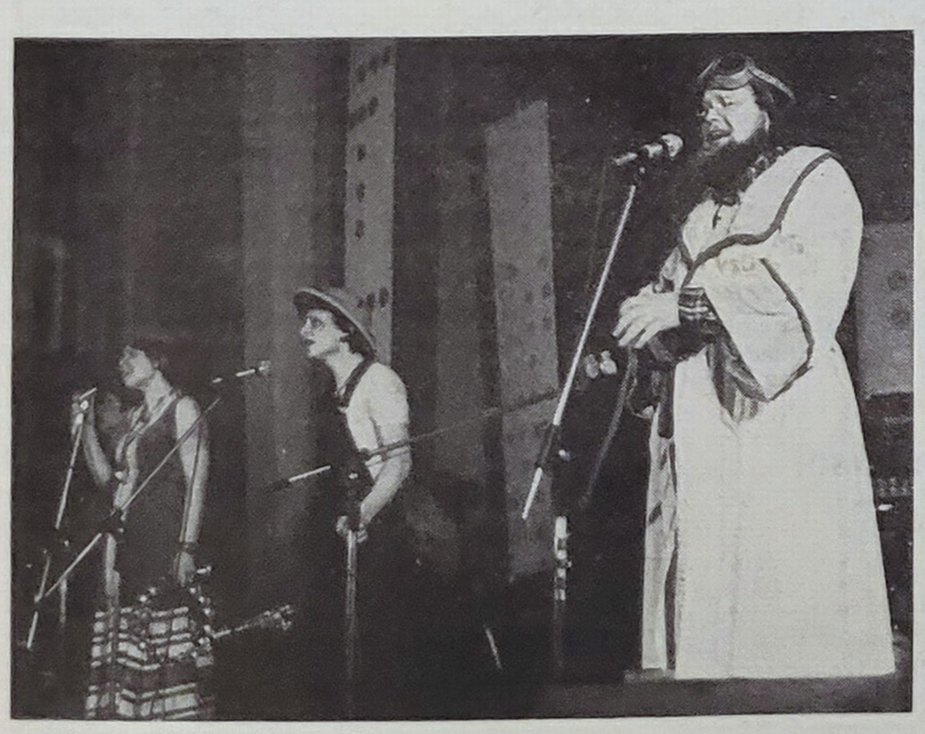

Ubodzy Krewni – udowodnili, że polska młodzież potrafi się także uśmiechać. Nagroda dziennikarzy
Fot. **M. Karewicz**

Barbara Gołaska
Fot. **Marek Karewicz**

GRAJMY NA GITARZE (Lekcja 7)

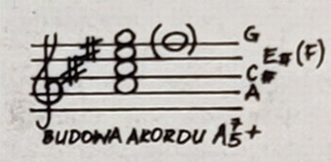

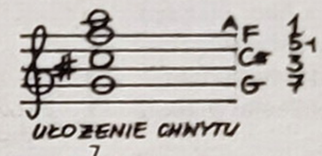

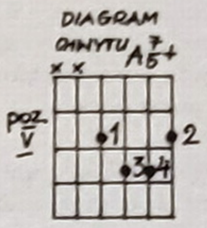

Akord zwiększony septymowy ($A\frac{7}{5}+$), to czterodźwięk zbudowany na dźwięku A z kwintą zwiększoną (5+) i septymą małą (7).

Akord nonowo kwartowy ($A\frac{9}{4}$) to pięciodźwięk z kwartą (4) w miejsce tercji, kwintą czystą (5), septymą małą (7) i noną wielką (9).

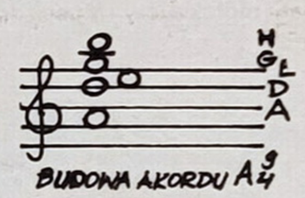

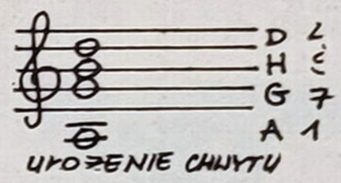

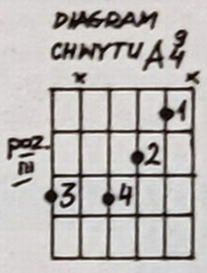

Zgodnie z Waszym życzeniem opracowałem jeden z przebojów Donny Summer pt. „I remember yesterday" śpiewany w wersji polskiej przez Zdzisławę Sośnicką. Aby uzyskać precyzję rytmiczną akompaniamentu, należy przestrzegać kierunku uderzania piórkiem. Szesnastkową pauzę wykonujemy przez puszczenie chwytu. (Nie odrywając palców od strun, jedynie zwalniając nacisk tak, by oderwały się od prożków).

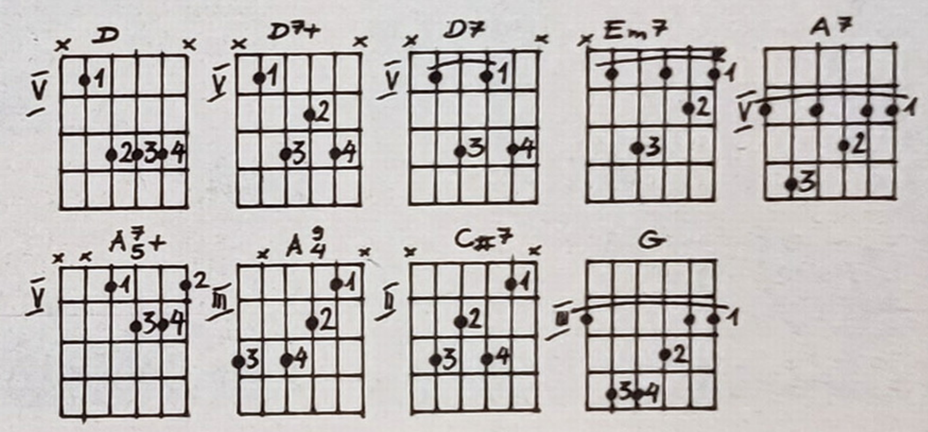

I REMEMBER YESTERDAY

Kompozycja: **DONNA SUMMER / GIORGIO MORODER**

Słowa polskie: **Bogdan Olewicz**

Opracowanie: **Janusz Popławski**

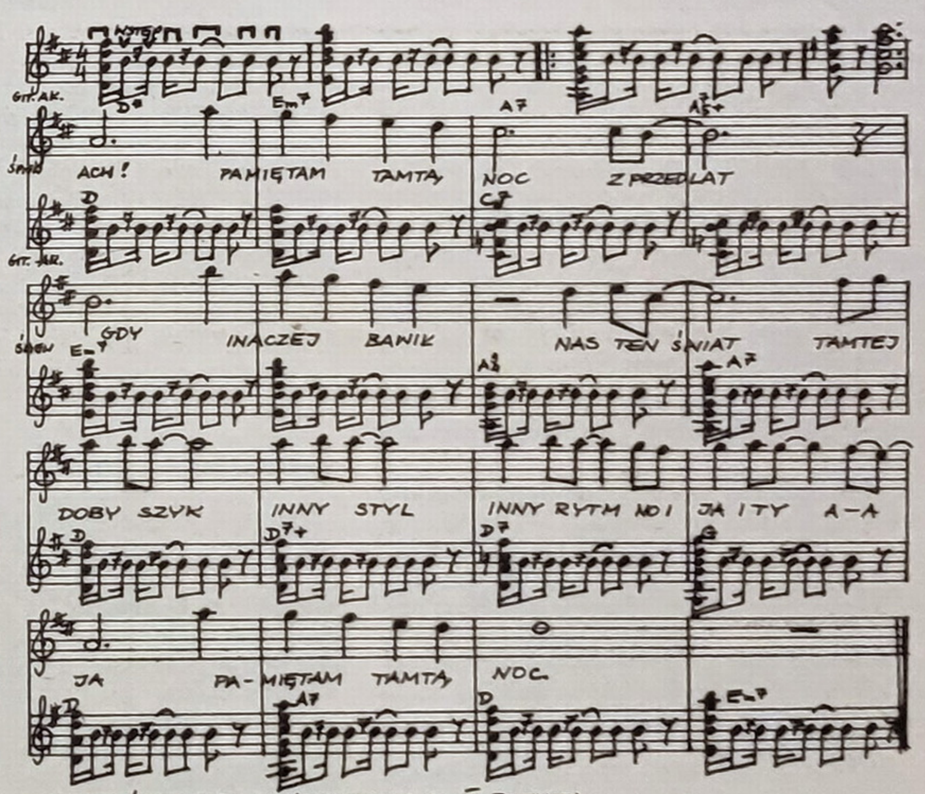

„Pszczółka" – JEJ BIOGRAFIA I ANATOMIA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

część kadłuba – tuż za pomieszczeniem użytkowym – odchylana jest ku dołowi i wyposażona w schodki. Pomieszczenie użytkowe jest dźwiękoszczelne, ogrzewane i wentylowane, przez co zapewnia – w wersji pasażerskiej i sanitarnej – odpowiedni komfort podróży.

TYSIĄC I JEDNA TWARZ PRACOWITEJ „PSZCZÓŁKI"

Wersja pasażerska: 15 pasażerów siedzących na fotelach w pięciu rzędach (po trzy fotele z przejściem między nimi). W kabinie znajduje się bagażnik na podręczny bagaż, garderobę i toaleta.

W wersji turystycznej – większe zagęszczenie foteli – może zabrać 20 pasażerów.

Wersja służbowa (dyspozycyjna): Dla 6–7 pasażerów fotele i składane stoliki. Dużo wolnego miejsca.

Wersja sanitarna: Z lewej strony nosze dla 6 chorych, z prawej fotele dla 5 chorych i lekarza.

Wersja transportowa: Wolne pomieszczenia dla ładunków o ciężarze 1500–1700, szczególnie dogodne ładowanie poprzez rampę utworzoną z odchylanego ku dołowi trapu. Ładownia o wymiarach: 5260 × 1660 × 1700. Ładunek ułatwia urządzenie dźwigowe o nośności 250 kg.

Wersja spadochronowa: Dla wywozu w powietrze kilkunastu skoczków spadochronowych. Lekkie siedzenia w pomieszczeniu pasażerskim. Wyjście z tyłu pod kadłubem jest szczególnie korzystne dla spadochroniarzy jako bardzo bezpieczne przy wyskoku.

Wersja do badań geologicznych: Dość obszerne pomieszczenie pozwala na umieszczenie w nim aparatury do przeprowadzania badań z powietrza lub naziemnych. Kabina zapewnia niezbędny komfort podróży dla geologów. Na samolocie można zamontować pływaki umożliwiające wykorzystanie go w obszarach o dużym zagęszczeniu wód śródlądowych. Z kolei możliwość zamontowania na nim nart umożliwia wykorzystanie samolotu także i w zimie.

Samolot An-28 może lecieć z jednym tylko pracującym silnikiem, potrafi się przy tym jeszcze wznosić z prędkością 4 metrów na sekundę.

LESZEK KOMUDA

Zadanie premiowane nr 181

SZYFROGRAM

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32
33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43
44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54
55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65
66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76
77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	

Odgadnij 14 wyrazów o podanych znaczeniach, zastąp w nich liczby literami, a te z kolei przenieś do odpowiednich kratek diagramu i rzędami poziomymi odczytaj rozwiązanie (wężyk oznacza koniec wyrazu) – fragment wiersza Władysława Broniewskiego „O radości". Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 181".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) bezgraniczna miłość, wielki zachwyt = 44 – 81 – 22 – 39 – 77 – 9 – 75 – 52 – 32 – 5 – 76 –, 2) oglądają film, sztukę = 64 – 13 – 19 – 74 – 54 – 17 – 69 – 33 –, 3) miasto w Górach Świętokrzyskich = 4 – 7 – 28 – 35 – 82 – 79 – 80 –, 4) słomiane okrycie roślin na zimę, chroniące je od mrozu (także postać z „Wesela" Wyspiańskiego) = 6 – 38 – 61 – 37 – 84 – 56 – 10 –, 5) między dwoma podporami mostu = 62 – 86 – 40 – 11 – 42 – 48 – 63 –, 6) ściskają się przy powitaniu = 60 – 27 – 18 – 55 – 65 – 70 –, 7) gra z kostkami = 3 – 78 – 45 – 51 – 68 – 49 –, 8) podziemny pęd niektórych roślin, np. paproci, perzu = 12 – 58 – 8 – 83 – 43 – 23 –, 9) mysz pod nią cicho siedzi = 57 – 36 – 59 – 14 – 67 – 2 –, 10) pęcherz powstający po oparzeniu = 24 – 16 – 71 – 85 – 53 –, 11) konik, pasja = 73 – 41 – 1 – 34 – 47 –, 12) ogon wiewiórki = 29 – 46 – 31 – 66 –, 13) reklama świetlna = 15 – 72 – 25 – 21 –, 14) przenikliwe zimno = 50 – 30 – 20 – 26 –.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO nr 177

z 35 numeru „Świata Młodych" z dnia 25.03.1978 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Święta niosą radość i wiosnę.

Bony książkowe wylosowali:
Elżbieta Gonciarz – Bieniów; Piotr Kaleta – Będzin; Danuta Kanicka – Busko Zdrój; Andrzej Kozubski – Reszel; Tomasz Łukasik – Konin; Janusz Mularczyk – Ozimek; Anna Pabich – Łódź; Stanisław Sułkowski – Tomaszów Maz.; Irena Talik – Bielany; Alina Walenczak – Zduny.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Wiem, że lubicie zadania takie jak „kółka i kwadraty", toteż staram się je zamieszczać dość często. Chociaż do wakacji jeszcze daleko, niektórzy co młodsi czytelnicy Abrakadabry martwią się już, czy będzie się ona ukazywała również w czasie wakacji. Oczywiście, będzie się ukazywała jak co roku. I mogę Was zapewnić – będzie bardzo ciekawa.

Do zobaczenia więc, do następnej soboty. Za tydzień znajdziecie prawidłowe rozwiązania dzisiejszych zadań.

Kłaniam się!

BEN AKIBA, gospodarz ABRAKADABRY

KÓŁKA I KWADRATY

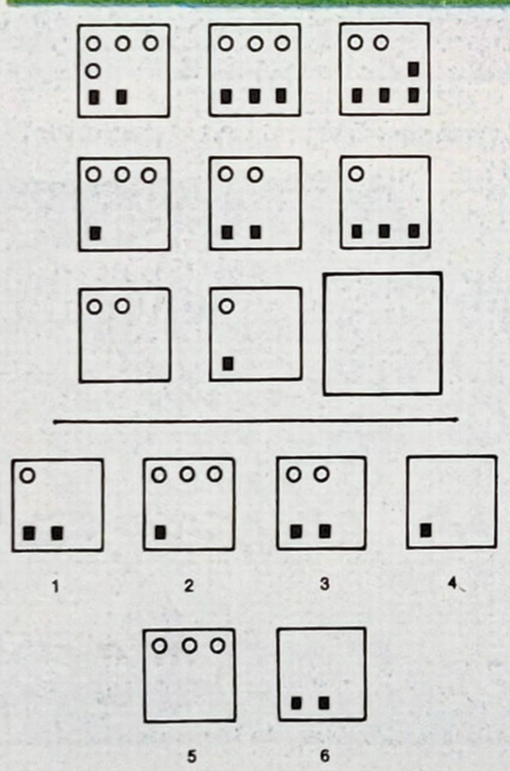

Białe kółka i czarne kwadraty. Ułożone są na pewno w jakiś logiczny ciąg; ich ilość to rośnie, to maleje... Może warto jednak skoncentrować się i odkryć zależności rządzące tym zadaniem. Bo warto odpowiedzieć, który z ponumerowanych od 1 do 6 kwadratów można – logicznie rzecz biorąc – wpisać w puste ostatnie miejsce naszego układu. Jeśli odpowiesz na to w 3 minuty, jesteś mistrzem logiki.

20	7	7	8
18	5	9	6
15	1	9	7
19	8	8	?

ZAWIŁY KWADRAT

Ten kwadrat rozwiązuje się łatwo, ale trzeba odnaleźć do niego „klucz", czyli zasadę, według której rozmieszczone są tu liczby. Wtedy właśnie będziesz mógł wpisać w kratkę ze znakiem zapytania odpowiednią liczbę. Tym, którzy już rozwiązywali w Abrakadabrze takie kwadraty – nie sprawi to trudności, Ci jednak, którzy z takimi zadaniami zetknęli się pierwszy raz – mogą się trochę pomęczyć.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

PARADA GOŁĘBI: gołąb nr 1; bo w każdym rzędzie poziomym i w każdej pionowej kolumnie musi być gołąb, który ma na „kołnierzyku" jedną, dwie i trzy kreski, jedno, dwa i trzy piórka na skrzydłach, brzuszek biały, czarny lub kreskowany. **NA MATEMATYCZNYM RINGU:** do „głowy" trzeba wstawić 5; suma „nóg" podzielona przez 2 daje liczbę z „głowy". **KWADRAT NA DESER:** każda trzecia liczba w poziomym rzędzie powstaje z dodania do podwojonej pierwszej liczby potrojonej drugiej liczby, a więc w miejsce znaku zapytania trzeba wpisać 9.

Smoczy labirynt

Na jednej z zabaw karnawału wiosennego klown Kokardka i jego paczka zbudowali i przedstawili takiego papierowego smoka, który miał przejść labirynt. Jednak przed wejściem do labiryntu część smoka oderwała się. Pomóż tym, którzy ukryci są w trzech ostatnich segmentach smoka pokonać bez omyłki ten smoczy labirynt i dołączyć do klowna Kokardki. Masz na to 3 minuty.

Zastanowił się.

– Dziś jestem bardzo zajęty... (usłyszałem jak mruczał, zapewne przeglądając kalendarz na biurku).

Wyobraziłem sobie jego wspaniały gabinet w ministerstwie, cztery albo pięć telefonów na stoliczku przy biurku, urzędników meldujących się w sekretariacie, gonitwę minut. Nie, rozmowa, którą chciałem odbyć z dyrektorem Dołęgowskim nie mogła się odbywać w ministerstwie, ale powinna nastąpić gdzie indziej, w kawiarni lub w jego prywatnym mieszkaniu.

– To będzie rozmowa poufna – dorzuciłem tajemniczo – proponuję kawiarnię dziś wieczorem...

Zawahał się.

– Nie bywam w kawiarniach. Ale proszę wpaść do domu, około, no, powiedzmy, dwunastej. Zgoda?

– W porządku. Znam adres – oświadczyłem i natychmiast odłożyłem słuchawkę, aby się nie rozmyślił.

Punktualnie około dwunastej pojawiłem się przed dużym nowym blokiem mieszkalnym na Mokotowie. Na dworze była odwilż, Warszawa tonęła w topniejącym brudnym śniegu, na ulicach samochody i autobusy rozpryskiwały na wszystkie strony strugi czarnego błota. Czy była to najlepsza pora, aby rozmawiać o lecie, o poświstach wiatru na stalówkach jachtów, o słońcu, którego promienie załamują się w niebieskawo-zielonkawych toniach jezior?

Otworzyła mi drzwi szczupła, wysoka, chyba piętnastoletnia dziewczyna, ubrana w niebieskie, wytarte dżinsy i zielonkawą bluzeczkę. Nie lubię ani dżinsów ani zielonkawego koloru, ale dziewczyna była dość ładna, krótko ostrzyżona blondynka, więc uśmiechnąłem się do niej tak mile, jak tylko potrafię.

– Ojca jeszcze nie ma w domu – poinformowała mnie. – Zapowiedział jednak pana wizytę. Proszę zaczekać w jego gabinecie.

Mieszkanie było wielopokojowe, z obszernym holem, z którego prowadziło kilkoro drzwi. Właśnie jedne z nich otworzyła przede mną dziewczyna w dżinsach i wprowadziła mnie do małego gabinetu z biureczkiem, wygodną kanapą, niskim stoliczkiem i trzema fotelami. Dziewczyna miała także ochotę usiąść w drugim fotelu i nawiązać rozmowę, ale nie zrobiła tego. Stała naprzeciw mnie i przyglądała mi się bacznie.

– Proszę się nie obawiać. Ja tu niczego nie ukradnę – oświadczyłem, bo irytowała mnie jej czujna obserwacja.

Zaczerwieniła się.

– Ojciec mówił, że otrzymał bardzo dziwny telefon od bardzo dziwnego człowieka i umówił się w bardzo dziwnej sprawie. To dlatego przyglądam się panu z taką ciekawością. U nas nie bywają dziwni ludzie, tylko bardzo nudni panowie.

– Rozumiem – kiwnąłem głową.

Nie bardzo wiedziała, jak ma się dalej zachować. Sięgnęła więc do biurka po małą, czarną chińską szkatułkę z wielkim smokiem.

– Zapali pan? – podsunęła mi otwartą szkatułkę, pełną papierosów „Marlboro".

– Owszem. Ale swoje. Palę tylko sporty – odrzekłem, sięgając po wymiętoszoną paczkę sportów.

– Niech pan zapali „Marlboro" – zaproponowała. – Przy okazji ja też sobie zapalę. Jeśli wejdzie tu nagle moja matka, to pomyśli, że dym pochodzi z pańskiego papierosa, a ja zdążę swojego zgasić. Rodzice nie pozwalają mi palić, a matka ma taki węch, że „Marlboro" wyczuje i zaraz się domyśli, że to ja paliłam.

Nie przepadam za panienkami, które w młodym wieku palą papierosy, ale nie chciałem zrażać sobie tej dziewczyny. Kiwnąłem głową i sięgnąłem po „Marlboro". Ona usiadła naprzeciw mnie w drugim fotelu i także zapaliła papierosa.

– Czy może mnie pan wtajemniczyć, co to za dziwna sprawa sprowadziła pana do ojca? – zapytała.

– Oczywiście. Pani ojciec był kiedyś żeglarzem. Przed piętnastoma laty jako kapitan jachtu „Szkwał" odbył rejs, który mnie interesuje. Przyszedłem, aby dowiedzieć się o szczegóły tego rejsu. Są one zresztą spisane w dzienniku jachtowym „Szkwała", który mam tu na kolanach, w tych ceratowych okładkach.

Wzruszyła ramionami.

– Mój ojciec był żeglarzem? To chyba działo się tak bardzo dawno, że wydaje się nieprawdopodobne.

Jakiś ton pogardy usłyszałem w jej głosie. Czyżby nie lubiła własnego ojca?

– A jednak był żeglarzem – stwierdziłem.

Zaśmiała się z ostentacyjną ironią.

– Jeśli to prawda, to chyba zupełnie się zmienił. Przekona się pan, jak się zjawi.

Cdn.

LEGENDY LOKOMOTYWOWE ŻYCIE LOKOMOTYWY SPORTOWE

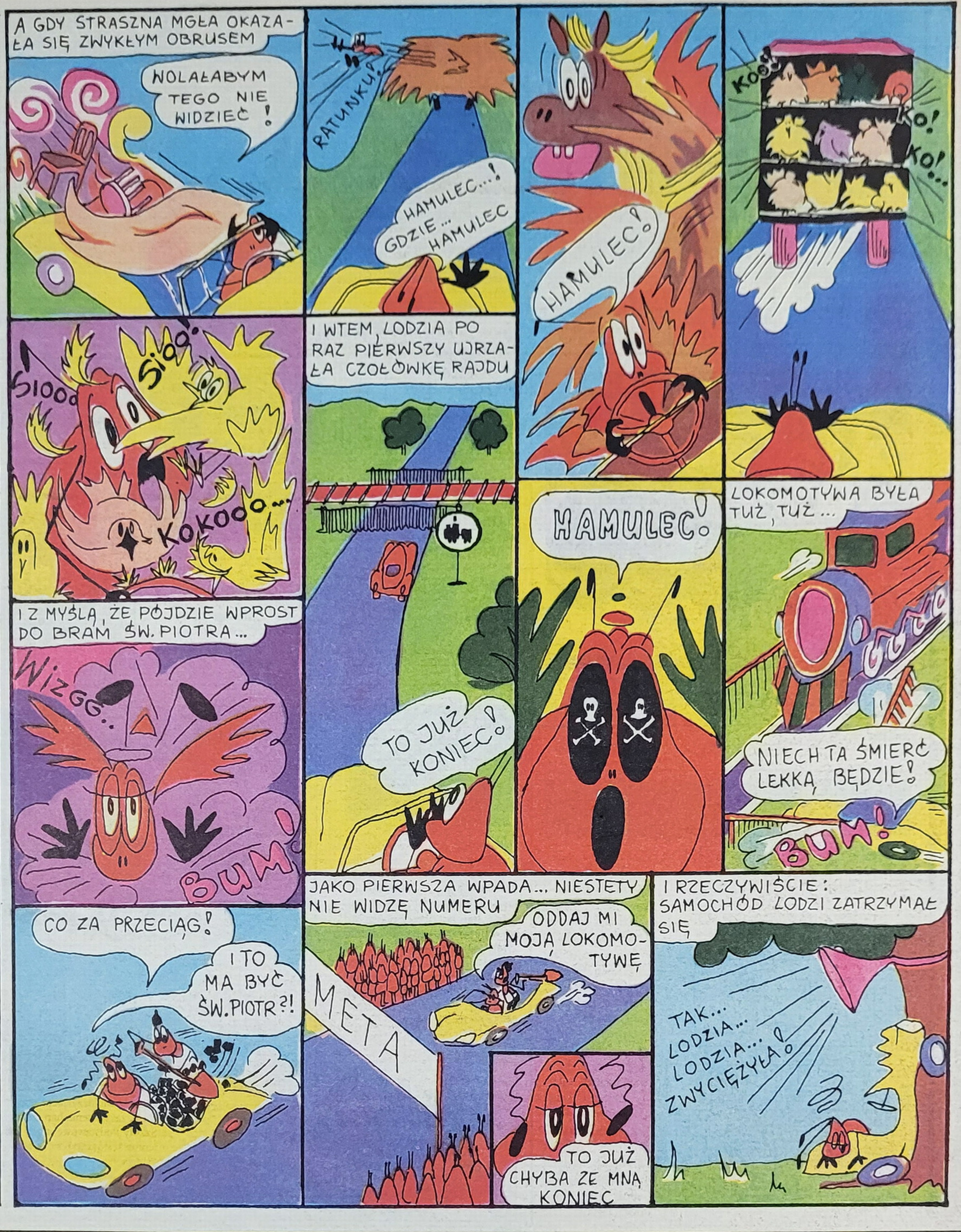

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

ŚWIAT MŁODYCH
TERYTORIALNA GAZETA MASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35048.

Opracowanie graficzne
Szarlota Paweł

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr zam. 2435/G S-5

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— Chwileczkę, proszę pani – krzyknąłem, bo odniosłem wrażenie, że nieuprzejma sekretarka chce już odłożyć słuchawkę. – Czy nie mogłaby mnie pani poinformować w pewnej dość istotnej sprawie?

– Słucham – raczyła się zainteresować.

– Nie orientuje się pani czy dyrektor Dołęgowski był kiedyś żeglarzem? I czy jako kapitan prowadził jacht o nazwie „Szkwał"?

Odniosłem wrażenie, że zdumienie odebrało sekretarce oddech. Nie słyszałem go w słuchawce. Nawet najlżejszego szmeru. Zapewne codziennie odbierała dziesiątki telefonów od bardzo ważnych osób w bardzo ważnych sprawach, ale nikt jej nie prosił o podobną informację.

– Zapisałam pana pytanie – usłyszałem wreszcie jej głos. – Proszę zadzwonić do mnie za dwie godziny. Przy najbliższej okazji zapytam o to dyrektora Dołęgowskiego i dowiem się, czy mogę panu na ten temat udzielić informacji. A z kim rozmawiam?

– Tomasz N. z Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków – oświadczyłem urzędowo.

Rozłączyła się. Odczekałem dwie godziny i zadzwoniłem ponownie.

– Tak, proszę pana. Dyrektor Dołęgowski był kiedyś żeglarzem i kapitanem na „Szkwale" – tym razem głos jej był nieco milszy niż uprzednio.

– A czy w takim razie może mnie pani z nim połączyć? – zaproponowałem.

Jej głos znowu stracił swoją miłą intonację.

– Jeśli pływał pan kiedyś z dyrektorem Dołęgowskim i z tego tytułu szuka pan u niego jakiejś protekcji lub chce przez niego załatwić jakąś sprawę, to z góry ostrzegam, że nic z tego nie będzie. Dyrektor Dołęgowski bardzo tego nie lubi. A poza tym pan jest, zdaje się, muzealnikiem? U nas nie ma żadnych eksponatów – zachichotała cichutko.

– Nie szukam protekcji – burknąłem. – Proszę tylko o kilka słów rozmowy na temat jachtu, którym kiedyś on żeglował.

– W porządku. Zaraz pana połączę – zdecydowała.

Przez dłuższą chwilę trwała w słuchawce głucha cisza, a potem usłyszałem tubalny męski głos.

– Dołęgowski, słucham.

– Nazywam się Tomasz N. Już uprzednio dzwoniłem do pana sekretariatu, aby dowiedzieć się, czy to pan przed piętnastoma laty był kapitanem na „Szkwale"?

– Tak. Byłem. I co z tego? Proszę się streszczać – głos był mało uprzejmy.

– Kupiłem właśnie wrak „Szkwała"...

– Gratuluję – przerwał mi z ironią.

– I znalazłem w nim stary dziennik jachtowy. Otóż w zapiskach dotyczących pańskiego rejsu znajduje się pana informacja, związana z zabytkami naszej kultury. Trafiłem na nią przypadkiem, przeglądając strony dziennika. Sprawa ta wymaga rozmowy z panem i wyjaśnienia szczegółów. Dzwonię zresztą nie prywatnie, tylko w pewnym sensie urzędowo, z ramienia Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków.

Kłamałem. Dzwoniłem prywatnie i centralny zarząd nic z tym nie miał wspólnego. Dokonywałem nadużycia funkcji służbowych, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobię, tak ważna osobistość nie zechce ze mną dalej rozmawiać.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, o co konkretnie chodzi? – zapytał dyrektor Dołęgowski.

– To nie jest rozmowa na telefon – odrzekłem.

Bo wiedziałem, że jeśli wyłuszczę mu sprawę, on pomyśli o mnie „wariat" i odłoży słuchawkę.

– A czy to pilne? – zapytał znowu.

– Tak.

Dokończenie na str. 7